Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

WOJEWÓDZKIEJ SZKOŁY PARTYJNEJ
W GDAŃSKU

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

E. JANKOWSKI — Druga część „Antka" CZ. SCHABOWSKI — Korespondencje analfabety
Z. WRÓBEL — Wychowanie budowniczych komunizmu
ST. KRZEMIEŃ — Książka o klasie robotniczej A. BRAUN — Agitator wiejski
Z. DUTKOWSKI — List ze Śląska F. FENIKOWSKI — Czujność
P. PIGWA — Nie ma człowieka W. KIWILSZO — Walka klasowa w USA
A. MECH — Razem — ale jak? W. SMUŁA — Książka w rękach chłopa
Poezja ludowa górników czeskich

Rok VIII Warszawa, dn. 1. IV. 1951 r. Nr 13 (296)

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

PRZY DRODZE

Droga do dworu biegła
w uprzęży zielonych kasztanów.
Tędy po pracę pełzał
Dziad w chłopską świtkę odziany.

Tu ojciec pięści zaciskał,
ale milczały — bezsilne,
długo w kasztanach dwór oknami błyskał
na ziemię panom przychylną.

Aż na drodze — ze wschodu czołgi...
czterdziesty piąty. Był styczeń,
gdy przed dworu wymarłym obliczem,
W kasztanach wiatr szumiał znad Wołgi.

Opustoszały dwór
— z faszystami uciekli panowie.
Tablicę wciągnięto na wiekowy mur:
„Szkoła Rolnicza w Jackowie".

Droga do szkoły wiedzie
— pójdą co dzień,
zdobędą wiedzę
młodzi.

Książka przyjdzie drogą i siądzie za stołem
pod strzechą niską.
Czytaj, pochylając czoło:
„...ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie..."

...kto ciebie, ojczyzno, odzyskał.

RZEKI

Rzeki, ojczyste rzeki
płyną, giną w oddali,
marzenie chłopców znad rzeki
nie ginie, płynie w socjalizm.

Cóż, że stare jest dno,
cóż, że stara naszych Wiseł woda?
Praca chłopięcych rąk
rzekom powraca młodość.

Dłoń, która przyszłość wielbi,
z ich powolnego szumu
socjalizm wprowadza do domu
rwącym strumieniem energii.

Jutro warsztaty rozświetli,
na wsi gruszki żarówek zabłysną
i powstanie z walki sześcioletniej
pokój światu i ziemi nad Wisłą.

WŁADYSŁAW UDALSKI

ZACIĄG POKOJU

Koleżanko Lucyno!
Twoim oczom jaśniej patrzeć
w dni, które przez warsztat Twój płyną,
gdy na piersi — znaczek.

Apel wichrem obiegł przez Polskę,
wyprzedza spieniony czas.
ZMP w fabrykach, po wioskach
zaciąga straż.

W Łodzi namiętność walki — czynem
jak w czasach barykad, boju.
Twoja dłoń zakreśla norm linię:
nowe zastępy Pokoju.

Trudem i blaskiem oczu tkaczy,
rośnie za metrem metr.
Skruszały dawno stare plany
w gorączce serc.

Towarzysze włókniarze!
Wam świat w bezpieczne ręce
jak sztandar przechodni.
Będzie w domach wesela więcej
w sercu — pogodniej.

PIOTR CHMURA

SPOTKANIA Z NAUCZYCIELEM

Pierwszy raz zobaczyłem go pod koniec listopada 1949 r., na wojewódzkiej naradzie w Rzeszowie, zwołanej w sprawie czytelnictwa książek w terenie. Kiedy wszedł na trybunę był już 7-ym z kolei, czy 9-ym mówcą. Ale kiedy przemówił, wszyscy się ożywili.

— Zaproszony na naradę — zaczął — przesłałem Komitetowi szczegółowy wykaz rozwoju czytelnictwa prasy i książek na mojej gminie, Iwierzyce. Spodziewałem się, że podobnie postąpią inni delegaci. Oczekiwałem, że główny referat od tego zacznie i da nam w liczbach przybliżony obraz czytelnictwa wiejskiego w województwie. Jeśli zadanie to byłoby za trudne, jeśli zbrakłoby dla wielu gmin danych, oczekiwałem referatu, charakteryzującego powiaty po przez kilka lub choćby jedną gminę.

Bo powinniśmy się podzielić doświadczeniami, jakie na pewno muszą być różne w każdym powiecie, skoro już w dwu sąsiednich gminach bywają inne.

Przykładem niech będzie — moja gmina.

Czy może być ona reprezentatywna dla całego województwa a nawet dla powiatu? Osądzcie sami. Po 1) oddalona jest od Rzeszowa o 23 km., od najbliższego miasteczka (Sędziszów) o 10 km. Z dala od magistrali, od szos, pośród bezdroży.

Po 2) tu właśnie przed wojną nie solono białą solą, tu zapałki łupano na czworo, tu dla maleńkich dzieci okryciem były worki z plewą. Symbol rzeszowszczyzny — ekonomiczny. Ale był też i polityczny. **Nockowa!** To w naszej gminie. Ruchem ludowym kierowała tu KPP. Lała się krew chłopska w walce z sanacyjną policją.

Po 3) przed r. 1939 nie było w naszej gminie ani jednej stałej biblioteki, z której by masowo korzystano. Były jedynie parafialne, karmiące swoich czytelników lekturą dewocyjną i profaszystowską („Święty Franco").

Oto punkt wyjścia w r. 1945. Czy uwierzycie? W tym roku prenumerat pism na gminę (9 wsi) było tylko 10. (Dz. Polski — 3, Gazeta Ludowa — 7) w 46 — 22, w 47 — 106.

A w czerwcu br., ostatniego roku planu trzyletniego, na siedem wsi (5.740 ludności) przypada już 1224 pism, prenumeruje zatem co piąty, to znaczy w każdym domu gazeta.

Kto miał zacząć w naszej gminie i od czego rozwój czytelnictwa? W perspektywie był oczekiwany przełom — powstanie bibliotek gminnych. Ale od 45 do 49 r. nie mogło być próżni, nie można było nie walczyć. Więc jak? Kiedy plebanie rozrzucały darmo i masowo swoje pisemka, kiedy kusiły do parafialnych bibliotek, kiedy odżył PSL i ciekawość chłopów zaspakajał „Gazetą Ludową", kiedy nie było w gminie bibliotek?

Podjęliśmy się tego zadania my, nauczyciele. Ruszyły szkoły, 8 na gminę. To była pierwsza baza. Szkolne biblioteki dla dzieci i młodzieży. Plan był prosty. Od młodzieży szkolnej do starszej, świetlicowej! A przez jedną i drugą w gospodarstwa, w domy rodzinne! Nasze księgozbiory, na początku, w najlepszych swych pozycjach mogły dać i dały — jak to pokazała ankieta — „Robinsona Kruzoe", „Chatę Wuja Toma", „Bitwę pod Raszynem", „Antka" i „Janka Muzykanta". Takie młodzież zapamiętała, jako pierwsze rzeczy z lat 45 — 47. Nie mówię o stronie literackiej. Mówię o stronie wychowawczej, o budowaniu światopoglądu, orientacji w życiu i wiary w nie. To był słaby kapitał i słaby dynamit. Nadrabialiśmy wyjaśnieniami. Udało się je rozszerzyć na świetlice. Ankieta przeprowadzona wśród chłopów upewniła nas w tej metodzie. „Trzeba zaznajamiać ludzi, co daje nam książka i jak tę książkę dla własnej korzyści należy czytać". Taka była odpowiedź chłopów. Na świetlicach wprowadziliśmy prasówki i gazetki ścienne. Bazą — powtarzam — było 8 szkół podstawowych i 1 Liceum Rolnicze. W budżetach szkolnych skąpiliśmy na różne rzeczy, aby odłożyć na biblioteczki. Porozumiewaliśmy się wzajemnie i uzupełniali księgozbiory różnym asortymentem, prowadząc wymianę międzyszkolną książek. Szło nam o przyśpieszenie dojrzałości u młodzieży, o jej szybki i skuteczny udział na froncie walki klasowej na wsi. Czy nam się udało? Osądźcie wy, koledzy.

Oto, gdy obecnie biblioteka gminna dysponuje 660 książkami, samo Liceum Rolnicze posiada ich 700. Połowa biblioteki stanowi paroletni dorobek samej młodzieży. Książkę po książce zapracowywano w polu, na wsi, u chłopów. Można by o tych licealistach napisać powieść.

Kiedy wreszcie na Gminną Radę Narodową wniesiono projekt założenia gminnej biblioteki, na pierwszym posiedzeniu projekt upadł. Jeszcze w Radzie siedzieli bogaci chłopi, jeszcze i tacy, co „głowę i serce noszą w brzuchu", a także i

Prezydent Bierut wśród nauczycieli.

ci, co patrzą „gdzie się z komina kurzy". Odrzucenia projektu nie dokonano bezmyślnie. Wróg klasowy dobrze był zorientowany w naszej akcji szkolnej. Wiedział, co to znaczy uruchomić bibliotekę gminną **na przygotowanym gruncie.** Co to znaczy wydać bitwę parafialnej bibliotece dla dorosłych, dotąd bez konkurencji. Argumenty wroga były zamaskowane: biblioteka pociągnie koszta, które gmina będzie płacić. A „po reszcie", kto chce czytać, niech se książkę kupi. To była cyniczna aluzja do naszych szkół i Liceum Rolniczego.

Następne posiedzenie Rady zostało oblężone przez młodzież ze wszystkich szkół, z liceum, z kół ZMP i świetlic. Marszu na gminę przelękli się kułacy, choć był to tylko marsz dzieci i młodzieży. Ci radni, co patrzą „gdzie się z komina kurzy" w mig chwycili nowy wiatr. Radni partyjni przypuścili ostry szturm. Projekt został uchwalony większością głosów. Młodzież rozniosła po domach nazwiska oponentów. Powstał tumult po wsiach. Dalszy udział kułaków w Radzie Gminnej mógł być liczony już tylko na dni.

Upłynęło 10 miesięcy. Biblioteka gminna ma ośrodek centralny i sześć punktów bibliotecznych po wsiach. Wypożyczeń dokonano za ten okres 4066. Ludności w gminie 8.000, jeśli odliczyć dzieci do lat 8—10 i stare pokolenie i przyjąć na pozostałych sumę 4 000, jeśli z kolei założyć, że przeciętnie każdą książkę czytały w domu 3 osoby, wypada w przybliżeniu 3 książki na jedną osobę. To przeciętna statystyki. Rzeczywistość wygląda inaczej. Wielu jeszcze nie czyta, ale też wielu czytało **dużo.**

Co tu jest ważne? Biblioteka parafialna od r. 1947 podniosła księgozbiór i ma prawie równy bibliotece gminnej (b. par. 602, b. gm.— 661) — ale zapisanych w bibliotece gminnej jest **dwa razy więcej,** a wypożyczeń było **cztery razy więcej,** oto obraz nowego! Już po dziesięciu miesiącach widać olbrzymie przegrupowanie sił na front postępu, widać niesłychaną dynamikę kulturalną po naszej stronie. Tak stoi sprawa czytelnictwa w naszej gminie. A jak stoi w innych gminach, w innych powiatach? Czego możemy się nauczyć z waszych, koledzy, doświadczeń?...

Klaskającego siarczyście sąsiada spytałem, kto zacz ów mówca?

Wiedział. To nauczyciel z Wiercan, 10 km. od Sędziszowa. Syn najmity. Matka była najmitą. Miody chłopak — 24 lat. Za czasów okupacji sprzedali go kułacy na roboty do Niemiec, wrócił w 1946 r. i po sześciu tygodniowym kursie dla nauczycieli zaczął uczyć. Z awansu społecznego, partyjny. W przyszłym roku sam kończy maturę. O, z głową i zawzięty!

*

Drugi raz zobaczyłem go 1 września 1950 r. Jechałem samochodem przez Rzeszów na Dębice. Na rynku w Sędziszowie przypomniałem sobie nauczyciela z Wiercan. Ile to stąd? 10 km. Pogoda była piękna, późne popołudnie. Zawadzę, pogadam. Szofer wrócił z rynku rozpromieniony. Bocznica, ale 6 km świetnej, nowej szosy. W tym roku ją wybudowali. Kiwał głową z uznaniem. I tutaj nawet robią?! Pomknęliśmy. Nie było mi jednak pisane pogadać z nauczycielem. Trafiłem na drugą w tym dniu uroczystość. Rano — dzieci. Po południu — rodzice. Na ganku szkoły — stół, za stołem, jak mogłem się domyślać — nauczyciele i zarząd Komitetu Rodzicielskiego, przed gankiem rzędy ław, na nich starzy, na murawie z jednej strony dorosła młodzież, z drugiej szkolna. Pewnie będą popisy artystyczne. I były potem. Kiedym zaś podjechał, akurat przed stół na ganku wystąpił mój nauczyciel. Ot, masz — znów z referatem. Przycupnąłem na ostatniej ławie i słucham.

Nauczyciel wiejski wśród dzieci.

— Najsamprzód chcę podziękować w imieniu szkoły za tak liczne zgromadzenie. Przecież tu są chyba wszyscy ze wsi. I nasi starcy, emeryci i młode żonki z dzieciakami na rękach. Nawet nasi bogacze. A jednak szanowni rodzice, kogoś tu brak. I to sporej gromady. Nie ma tu 26 dziewcząt i chłopców, którzy skończyli w tym roku siódmy oddział... widzę, jak się uśmiechacie i jak oddychacie z ulgą. No i słusznie. Poszli dalej, poszło ich w tym roku do szkół **średnich** aż 26 sztuk! (oklaski i okrzyki: „Niech żyje szkoła", „dziękujemy nauczycielstwu").

— Nie dziękujcie szkole. Komu innemu należy dziękować. Pamiętacie, jak do roku 1939, żeby skończyć 7 oddziałów trzeba było chodzić do Sędziszowa — 10 bitych km? Pamiętacie, kto z naszej wsi kończył i kto szedł dalej?! My gadajmy inaczej. Kto dziś szkołę wam przybliżył, kto masowo ułatwia waszym dzieciom dostęp do szkoły i czyim dzieciom? I jakie to ma znaczenie dla was? Bo z czego sławna była przed wojną nasza okolica? Z nędzy i dzieci! Na 500 mieszkańców naszej wsi w szkole jest dziś blisko 200 dzieci! Oto, co tu obradza. A coście wyrobnicy, małorolni i średniacy dawali dzieciom przed wojną? Trudny był wasz rachunek gospodarski. A teraz nie jest trudny. Dajecie im przyszłość lepszą, niż sobie marzyliście we śnie. Kto wam ten rachunek gospodarski poprawił i ubezpieczył? I jak wam poprawił i jak ubezpieczył! Poszły wasze najstarsze dzieci do średnich szkół, a co jest z tymi tu w szkole? Na dożywianie wydano w tym roku 200.000 złotych. Sieroty dostają zapomogi, biedne dzieci — buty i odzienie. Starcy — prowiant. Tak to idzie na naszej wsi, która była dnem nędzy w Polsce przedwrześniowej, w Polsce obszarników, burżujów i kułaków. (oklaski).

Poczekajcie, to jeszcze nie wszystko. Widzicie, jak obok nas, w gromadzie Będzin postawiono piękną szkołę, jak z drugiej strony w Gwierzycach, w dawnym pałacu, pracuje z nami Liceum Rolnicze, sławne na okolicę. Wiecie, że w projekcie jest wybudowanie i w naszej wsi nowego, wielkiego gmachu pod szkołę. A to wam jeszcze powiem z radością, że na budżet naszej szkoły, na rok 50—51, przeznaczono 900 tys. zł., kiedy jeszcze w ubiegłym roku tyle samo było na wszystkie szkoły w gminie, a w tym roku 5 milionów! Oto macie pierwszy rok Planu 6-letniego. (Oklaski).

Ja nie wiem, czy dzieci to nie więcej, niż pół rachunku rodzinnego. Ale liczmy pół. Otóż te pół macie czy nie macie zapewnione i ubezpieczone?

— Wybuchają wśród oklasków okrzyki: „Ma się wiedzieć... widać jak na dłoni..."

— A czego uczą się wasze dzieci, tu w szkole i wyżej w zawodowych i na różnych praktycznych kursach? Czego?

— **Socyjalizm budować** — krzyknął ktoś w tonacji, z której trudno było wnioskować: pochwala czy szydzi.

— Dobrze powiedział — podchwycił nauczyciel — uczą się pracować na korzyść robotników i chłopów, a na klęskę wrogów Polski Ludowej, wrogów pokoju i socjalizmu! A tyle będziemy mieć z naszych Wiercan za parę lat uczonych głów, ile ich nie zliczylibyście razem od czasów ks. Stojałowskiego i bardzo uczonego pana Wysołucha, którzy nas tu przed pół wiekiem odwiedzali.

Ale czy wy sądzicie, że tylko wasze dzieci uczą się i mądrzeją? I wy uczycie się z tej samej wielkiej księgi postępu, którą otwarła w nowej Polsce ludowa władza, a jak to mówią nasi „wszystko wiedzący" kułacy — „dychtatura proletariatu". Po raz pierwszy w historii naszej wsi użyliście w tym roku podczas żniw maszyn rolniczych. I spodobało wam się. Z pięćdziesięciu najbiedniejszych rodzin, nikt nie zaciągnął długu u kułaków, nikt nie zapisał się w odrobek. Zawrzało, co? Kułacy już poczuli kołchoz i zaczęli obsmarowywać spółdzielnię gminną. „Widzisz, co masz w tej spółdzielni? Cukru ile chcesz nie kupisz, żelaza ile chcesz nie kupisz, płótna ile chcesz nie kupisz, tak też będziesz miał i w spółdzielni produkcyjnej".

A wy co na to? Wyście uchwalili założyć **filię** spółdzielni w naszej wsi. To znaczy, żeście poparli spółdzielnię, że ją uznajecie za swoją

(Dokończenie na str. 2)

EDMUND JANKOWSKI

DRUGA CZĘŚĆ „ANTKA“

„Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć...

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku...“ — takimi słowami zakończył Prus swego „Antka“, jedną z najbardziej charakterystycznych nowel, poświęconych zagadnieniom zmarnowanego talentu chłopskiego.

Rzecz niewątpliwa, że pisarz dotykał tu jednej z najistotniejszych bolączek polskiego życia z okresu pozytywizmu, przy czym, jak wiadomo, nie sam apelował do uczuć humanitarnych społeczeństwa, bo temu samemu tematowi poświęcone były znane utwory Sienkiewicza czy Orzeszkowej. Rażące nieco bezradnym sentymentalizmem pytanie Prusa oczekiwało na odzew (problematyczny) czytelnika — w nas po latach budzi zainteresowanie, jak naprawdę mogły wyglądać dalsze losy Antków Janków i Sylwków...

I oto przeglądając listy Orzeszkowej natrafiamy na ślady jednej z takich historii. Początek jej opowiedziała pisarka w barwnym liście z 20.IV.1882 r.*) do T. T. Jeża:

„Pewnego wieczoru, gdyśmy dokoła stołu przy herbacie siedzili, wsunął się do pokoju i przy progu stanął chłopak całkiem mi nieznajomy, w chłopskiej odzieży bardzo ubogiej, z wielką, starą, wypchaną papierami teką pod ramieniem. Myślałam, że z czymś od kogoś przysłany. „Nie — odpowiada — ja do Pani... sam... po literackim interesie“. — Któż Pan jesteś?“ — „Włościanin z powiatu Oszmiańskiego.“ — „Jak się Pan nazywasz?“ — „Leonard Dziadul“. — „Proszę usiąść. Czego Pan żądasz?“ „Chcę pisać. Piszę. Nie wiem, czy to cokolwiek warte. Byłem w Wilnie u pana Chełmińskiego**) i Lawendy (Żyd piszący po rosyjsku), powiedzieli mi, że nic nie umiem i że trzeba uczyć się. Pytałem się, jakim sposobem mogę uczyć się — powiedzieli mi, żebym jechał do Pani.“

W kilku słowach Orzeszkowa scharakteryzowała swego niespodziewanego gościa: „Dwudziestoletni, szczupły, z twarzą bardzo ładną, bladą, smutną, ze spuszczonymi powiekami, które gdy podnosi, ciemne oczy rzucają błyskawice i w spojrzeniu mają coś orlego, przenikliwego i zarazem rozjątrzonego.“ Przygotowanie umysłowe chłopca było dziwne, chaotyczne. Skończył prowincjonalną szkółkę elementarną. Czytał dużo — w tym Mickiewicza... ale po rosyjsku. O Kraszewskim nie słyszał, za to czytał... Spencera. Poza tym pisze. Zapytany, co pisze? odpowiedział: „Wszystko: powieści, obrazki, wiersze, rozprawy społeczno-filozoficzne. Jak pisze? Po rosyjsku, ale parę wierszyków i artykulików... napisał po polsku.“

Doszło naturalnie do próby: „Prosiłam, żeby czytał mi swoje prace, a gdy zaczął — osłupiałam. Talent pisarski niesłychany, inteligencja, intuicja odgadująca światy nieznane, podnosząca się do najtrudniejszych abstrakcji bez możności nawet nazwania ich po imieniu — zdumiewające. Naturalnie, chaotyczne to jeszcze, wskutek wpływów otrzymywanych, krzywe często, pozbawione narzędzia takiego, jak dobra znajomość języka, ale zdatności ogromne. Niektóre obrazki po rosyjsku pisane, więc językiem nieco opracowanym w „narodnym uczyliszczu“, gdyby nie cenzuralne warunki, można by wnet bez wstydu drukować.“ I wreszcie synteza: „Demagog, kosmopolita, komunista tymczasem. Dziadul ten niewątpliwie jest materiałem, z którego by nauka i przyjazne wpływy wytworzyć mogły rozumnego miłośnika i znawcę ludu a utalentowanego pisarza.“

Co więc z nim robić? „Wymyśliłam — pisze w tymże liście Orzeszkowa do Jeża — aby dla zapełnienia czasu i zapewnienia sobie chleba na przyszłość, uczył się on rzemiosła jakiego, a parę godzin dziennie poświęcał lekcjom, systematycznie mu udzielanym. Na projekt ten z radoudzielanych. Na projekt ten przystał z radością i wdzięcznością, niemniej rzemiosło wydaje mu się wstrętnym, to pewno, choć otwarcie tego nie powiedział.“

Od słów przeszła Orzeszkowa do czynów, choć przyznać trzeba, że kandydat na literata niefortunnie trafił do swej protektorki, do której tak wygodnie został „podrzucony“ (wiadomo, pięknie pisze pani Orzeszkowa — niech więc się sama tym kłopotem zajmie)...

Jak na złość dla Dziadula, na Orzeszkową spadł cios nie lada—rząd carski zaniepokojony jej społeczno-literacką działalnością, pismem z Departamentu Policji z dn. 18.IV. st. st. 1882 r.*) zamknął księgarnię i dom wydawniczy pod firmą „E. Orzeszkowa i S-ka“ w Wilnie — narażając pisarkę na ogromne straty materialne i przykrości, z internowaniem na trzy lata w Grodnie...

Coś przecież zrobić trzeba, choć kłopoty walą się coraz większe — od czego zresztą dobrzy ludzie? Pisze Orzeszkowa do znanego pomologa, prof. Edmunda Jankowskiego*), z którym pozostawała w korespondencji w związku ze swymi wydawnictwami wileńskimi. Poprosiła go Orzeszkowa, by ułatwił przyjęcie Dziadula do szkoły ogrodniczej w Warszawie.

Rzecz się udała, bo 14.X.1882 r. donosi Jankowski Orzeszkowej:

„Dziadula przyjąłem do klasy przygotowawczej i byle miał ochotę a utrzymanie które to przy naszej szkole jest łatwe, bo i 150 rs. rocznie wystarczy, to go na porządnego ogrodnika w 3 lata wypromujemy.“

I pieniądze się widocznie znalazły (najczęściej z własnej szkatuły Orzeszkowej**) — ale z finansami Dziadula, jak i jego opiekunki, mimo to, krucho było, a i pierwsze wystąpienia w stolicy nie były najlepsze, o czym tak w listopadzie tegoż roku pisze Jankowski:

„Donoszę w krótkich słowach, że tak szlachetnie przez Panią z bruku podniesiony Dziadul wydaje mi się dobrym i chętnym, lecz bardzo zabiedzonym i nie mniej gapiowatym chłopcem. Pytał go np. profesor kaligrafii: „Czemu nie masz kajetu?“ — „Bo książek nie kupiłem, a to jakże kupić kajet bez książek?“ Jak żeby jedno od drugiego zależało. Jednakże pracować będziemy nad nim i niewątpliwie wyrobi się człowiek. Tymczasem jednak człowiek ten nie ma obiadów. Wprawdzie Szanowna Pani mu wyrobiła obiady u kogoś, ale to nie pojechał dotąd, tymczasem Dziadul potrzebuje koniecznie czynnego wsparcia, niechże mu go ułatwi ktoś przez tę zacną rękę, która go na światło i ku lepszemu dźwignęła.“

Tygodnik Ilustrowany r. 1897 A. Kędzierski

Tak więc znów wszystko wracało do Orzeszkowej i jej „zacnej“ ręki...

Ale co myślał i jak się czuł sam bohater, uczeń obecnie w stolicy?

Możemy na to odpowiedzieć najautentyczniejszymi jego słowami z listów do Orzeszkowej.

Listy te to niezmiernie ciekawy dokument, pokazujący i twardą drogę awansu społecznego i charakterystyczne troski, i rozczarowania, i silenie się na gładkość i uczoność, krytycyzm wreszcie i bystrość z arcynaiwnością zarazem. Dokument to, spoza którego przemawia prawdziwe życie...

Ale oto pierwszy (właściwie pierwszy z zachowanych w „Archiwum Orzeszkowej“) list Dziadula, wart tego, by go przytoczyć w całości, oczywiście z zachowaniem właściwości stylistycznych, a nawet ortograficznych.

„Wielmożna Pani! Od czasu świąt Narodzenia nie pisałem nic do Pani. Winą temu lenistwo w pisaniu listów, a po części i zajęcia w ogrodzie. W nauce dotąd nie bardzo daleko uszedłem i nie wiem, czy będę mógł wytrzymać okzamen. Wymagania, prawda, nie głębokie, ale za to wszechstronne, obszerne; tak np. z niemieckiego „gramoty“*) „mamy przekładać (po przekładzie przez nauczyciela) paragrafy specjalnej ogrodniczej książki i to nie umiejąc ani słowa po niemiecku, ani pół prawidła gramatycznego. I taki blisko sens mają francuska i łacińska „gramoty“, które nam wykładają. Tylko język rosyjski i arytmetyka w trochę lepszym stoją położeniu. Ale tymczasem dla mnie i wymienione rzeczy inną razą trudne. — W specjalnych klasach szkoły będą dawać mineral (ogii), zoologii, botaniki, a może nawet fizyki i chemii początki. Byłby to kurs trochę może racjonalniejszy od gimnazyjnego, gdybym mógł posiadać do tego czasu matematykę, no choćby arytmetykę, geometrię i algebrę, tylko na nieszczęście urywkowie nie zdążę ich nauczyć się, choć przewodniczą mi w tym (w arytmetyce tylko póki) p. p. studenci, z którymi mieszkam.

W Warszawie nic zdaje się ciekawego. Przynajmniej przyjrzałem się dość miastu. Brzydkim zawsze wyda się miasto po wsi, a Warszawa położona niezręcznie na równinie tym mniej ma powabu. W czasopismach tutejszych odbywa się pewny ruch. przegl(ąd) Tygodn(iowy) swoją radykalną taktyką zdaje się ma drugich zwyciężyć. Nowochrzczony „Kurier Codzienny“ traktuje poważnie sprawę o gospodach we wsiach zamiast karczem, o szerzeniu oświaty między ludem przez plebanów i panienki ze dworu itd. A wszystko komedie ludzie grają, i komedie, prawdę powiedziawszy, niezręczne. Zostaję“ itd. (List z 13.III.1883 r.).

Koniec pierwszego roku szkolnego przyniósł Dziadulowi sukces w postaci nagrody, o której zresztą pisze Orzeszkowej, że „właściwe nie była bardzo zasłużoną“. (Lit z 26.XI.1883— Archiwum Orzeszkowej).

Ale był to bodaj jedyny jego sukces życiowy. Zabrakło bowiem systematycznej i stałej opieki, spokojnego kształcenia. Przerzuca się więc biedny Dziadul do różnych dziedzin wiedzy, z niemałą dozą samokrytycyzmu określa się, że jest „dylletantem systematycznym“, bo zajmuje się kolejno to rysunkami, to literaturą („kiedyś“*), to wreszcie najsilniejszą może pasją swego życia, matematyką. Nieuniknione niepowodzenia wzbudzały fale zniechęceń, w których wyznawał: „mam jakieś zarodki (może i w tym mylę się) logiki, a brak pamięci“ lub z goryczą: „Mania literaturna (sic) porzuciła mnie, lecz razem i wiary w nic nie ma. Hugo w swoim „ośle“ i Szopenhauer proroczący Nirwanę-(to) chyba tylko ludzie pojmujący cele życia...“ lub nawet: „ Tak zdaje się przyjdzie zginąć zrywając wierzchy.“ (26.XI.1883).

Taki był bilans pierwszego roku w życiu bezradnego samouka. Panowie studenci gdzieś znikli z jego życia, szkoda, że nie wiemy też, o czym pisała doń Orzeszkowa.

I nieprędko spotkamy się (w listach, bo to jedyna droga naszej z Dziadulem znajomości) z naszym bohaterem.

Dopiero w styczniu 1889 r. „ambarasuje“ Ddziadul swą protektorkę prosząc, by mu umieściła w banku oszczędności — nie małe, całe sześćdziesiąt rubli! (sumę tę z widoczną satysfakcją wykaligrafował fioletowym atramentem).

Są to oszczędności — bo Dziadul jest już wykwalifikowanym ogrodnikiem i znajduje się na posadzie na Podolu.

Z otoczenia nie jest zadowolony. Ludzi, wśród których żyje, charakteryzuje jako „cywilizowanych wódką albo czarnym surdutem“. „Wymagania — ironizuje — prawie jak od stworzyciela.“ No, ale jakoś wszystko się układa i pan ogrodnik nie cały czas zajmuje się hodowlą kwiatów i uprawą warzyw.

Oto, co jeszcze robi „wieczorami“, aby „zapomnieć dzień“:

„Oto zdaje mi się, (a zdaje mi się — bo już raz łudziłem się), żem rozwiązał dawne, a zaklęte zadanie z geometrii początkowej o podziale jakiegoś kąta na trzy równe części za pomocą wykreślenia. Otóż nie wiem, czy zadanie to już nie jest rozwiązane, to wiem tylko, że nie było rozwiązane do r. 1878 (Geometria pana profesora Dawydowa z tego roku). Gdybym wreszcie pierwszy je rozwiązał, to nie znam adresu żadnego uczonego, którego bym protekcji mógł prosić dla wyprowadzenia w świat tego rozwiązania, bo zdaje się, że jest ono tak samo zaklęte jak kwadratura koła i nikt mnie wysłuchać nie zechce. Tymczasem mam pewność, ale pewność — to nie jest znane nazwisko, któremu by uwierzono.“ (List z 30.I.1889 r. Archiwum Orzeszkowej).

Gdyby to można wiedzieć, co Orzeszkowa na to odpisała!?

Z ostatniego listu dowiadujemy się, że Dziadul znajduje się na nowej posadzie, a przynajmniej na nowym miejscu, ale nie myśli przebywać tu długo, ciągnie go już świat szeroki, chciałby udać się na Kaukaz. W liście tym (z 2.II.1890 r.) alter Wokulski pisze: „Nie mogąc pokonać trisekcji kąta zajmuję się wynalazkiem uniwersalnego motoru i... już, już jest, a razem z tego nic.“

Jaki był ostateczny bilans tego życia — nie wiadomo, lecz dopowiedzieć sobie nie trudno. Takich jak on „rozparzonych“, porzuconych, zgorzkniałych i nieszczęśliwych było wielu...

„Plasterki“ pozytywistyczne i doraźna filantropia, choćby najczynniejszych osób, jak samej nawet pani Orzeszkowej, sprawy rozwiązać nie mogły...

I tak w jednym z szczęśliwszych wypadków wyglądała d r u g a c z ę ś ć „A n t k a“...

Edmund Jankowski

*) „Listy. Dwugłosy.“ t. I. Warszawa-Grodno, 1937, str. 199 — 201.

**) Chełmiński Wincenty (1850 — 1887) — zapomniany literat, wspólnik Orzeszkowej w prowadzeniu księgarni wileńskiej w latach 1879 — 1882.

*) Por. Stefan Rosiak „Księgarnia E. Orzeszkowa i S-ka w Wilnie“, Wilno 1938, str. 28.

*) Cytowane tu listy E. Jankowskiego i L. Dziadula, nie drukowane dotychczas, pochodzą ze zbiorów „Korbutianum“ przy Towarzystwie Naukowym Warszawskim.

**) Tak więc w liście z 13.VI.1883 r. pisze Leopold Méyet do Orzeszkowej, że rozmawiał z Dziadulem i przekazał mu od pisarki 50 rb.

*) W oryginale pisane „grażdanką“.

*) Określenia Dziadula jako poety białoruskiego przez M. Żmigrodzką we „Wsi“ r. 1948 nr 10 wydaje się jednak niesłuszne.

Spotkania z nauczycielem

(Dokończenie ze str. 1)

i że jej będziecie bronić; bo ten cukier, żelazo i płótno, których wam brakuje, idą na wieś, ale dopiero z komór kułackich. Nie będą kułacy smażyć naraz dwu pieczeni: okradać spółdzielnię po cichu, a głośno ją kompromitować. A pamiętacie jak to było z elektryfikacją? Milczeli kułacy, ale wyście już po żniwach nie milczeli. Idą aż dwa przewody wysokiego napięcia pobok naszej wsi, w ubiegłym roku powstał komitet, a właśnie, na czele z panami kułakami, choć pod dobrymi szyldami działaczy. I co? Storpedowali. Wiecie, jaka ich wściekłość ogarnęła, kiedy od Sędziszowa w naszą stronę wybudowano w tym roku 6 km. szosy i jaka radość, że jeszcze brakuje 4 km. Bo oni swoje panowanie i wyzysk budowali na naszym bezdrożu, na głuszy zapadłego kąta. Drogi, właśnie drogi boją się jak diabeł święconej wody. Bo droga — to znaczy, że partia będzie tu częściej. A oni wiedzą, że wynik może być jeden: od skarg i zażaleń pójdziecie pod przewodem partii do walki na miejscu, aż się będzie kurzyło, pójdziecie do budowania Planu 6-letniego w waszej wsi. A jest przecież co rozbudowywać. I znów ta droga. Ona by odkryła nasze nieruszone dotąd skarby w ziemi. Mamy przecież w Wiercanach obfite źródło siarczane o wysokiej wartości. Może powstać nowe uzdrowisko. Mamy kamień wapienny. Robiliście próby wypalania w tym roku, duże i wysokogatunkowe pokłady. Ech, jak to puścić w ruch, jak uruchomić, to nie tylko dla nas starczyłoby pracy, ale i dla okolicy. Tego się boją kułacy. Zdusili elektryfikację, bo od żarówek w domach mogłoby dojść do załączenia elektryczności z przewodu wysokiego napięcia do wiertarek siarki i wapienia. Cóżby się stało wówczas z biedotą, z parobkami, z komornikami? Cóż by się stało ze wsią? Osada przemysłowa? Robotnicy? Spółdzielnia produkcyjna? Wyście widzieli przed wojną pysk hr. Potockiego z Łańcuta, wielkiego burżuja, wielkiego krwiopijcy, ale sami dziś widzicie, że małe pieski tak samo gryzą i szczekają jak wielkie brytany kapitału. Zdemaskowaliśmy naszego młynarza. Siedzi w kryminale. Poszli do niego z naszej Gminnej Rady, aby podpisał papier na dzierżawę dla samopomocy czy prywatną, byle młyn szedł i nas obsługiwał, a ten w więzieniu siedzi i co odpowiada — nie! Komu on tak mówi? Nam! Czy krew was nie zalewała? To tak z narodem postępować? Ale czego innego po nich się nie spodziewajcie! Na siarkę oni porwać się nie mogli, za gruba rzecz, na wapno — rabunkową metodą — mogli, ale szosy im brakowało, a w Polsce Ludowej bali się, że wy byście im powiedzieli krótko: **prywatnie? Nie pozwolimy!** Dlatego wolą bezdroża, a za tym bezdrożem głupi naród, co w siebie nie wierzy, dlatego i w swoją prostą, robociarską i chłopską władzę też nie wierzy i tylko labiedzi i na zagonie życia upycha i kułakom służy, i karku im nadstawia. Dzieci dopiero was zbudziły. Baby się dziwią: la Boga, kędyż to ich tyle w świat zabierają, rodzić teraz a rodzić można spokojnie. A dzieci przecież dla was idą w świat po naukę. Och, dziadkowie nasi, emeryci, powiedzcie szczerze, czy wy nie obiecujecie sobie dużo po waszych wnuczkach? A mamy już podchowanych, takich, co dziś mogliby już wiercić w siarce i wapnie, budować wapniarnie, uzdrowisko i prowadzić spółdzielnię produkcyjną. Oni to zrobią. Ale czy myślicie tylko czekać, aż wrócą?

Z tym, czego wyście się w nowej Polsce nauczyli, można już wiele u nas zrobić. I przecież wy już robicie, walcząc i budując.

Ja jestem nauczyciel, otwieram nowy rok szkolny dla dzieci. Główna rzecz dla mnie — to — **światło i droga.** Światło nowe wpuszczamy w mądre główki chłopskie i na nowe drogi kierujemy podrostą młodzież, na takie, jak tu powiedziano — na których buduje się socjalizm: nowe, lepsze życie dla narodu, nowy, lepszy naród!

Ale gdybyście wy na tym zebraniu rodzicielskim otworzyli — po żniwach — nowy rok w gromadzie, też bym powiedział, główna teraz rzecz to: **światło i droga!** Zorganizujcie po wsiach zebrania, wyłońcie komitet i dobudujcie te 4 km., ruszcie elektryfikację, a już nas premier Minc znajdzie z naszą siarką i wapnem. A wtedy... wahać się nie będziecie.

* * *

Opisane spotkania nie są opowiadaniem. To najwierniejszy zapis. Mój nauczyciel jest z krwi i kości, nazywa się **Franciszek Grabowski.** Niechże ten zapis świadczy o głębokich przemianach w nowej inteligencji, w naszym nauczycielstwie. Potrafi ono treść swej pracy wychowawczej i oświatowej powiązać jak najściślej z „praktyką, z życiem, z codzienną pracą i osiągnięciami mas pracujących“ — co stawiał jako zadanie naczelne Prezydent Bierut na III Krajowym Zjeździe ZNP. „Proces przekształcania się dawnych narodów burżuazyjnych w narody socjalistyczne — to proces przerastania jednej epoki dziejowej w drugą. Jest to proces rewolucyjny i burzliwy, wymagający wielkich wysiłków, ale też wyzwalający z głębi mas ludowych niewyczerpane siły“ *).

Koledzy, nauczyciele, przyjmijcie zaproszenie na nowe spotkanie na łamach „Wsi“. Powiedzcie o Waszym wzmożonym wysiłku wychowawczym, który wyzwala z głębi mas ludowych niewyczerpane siły, siły narodu socjalistycznego.

*) Z przemówienia Prezydenta R.P.

Piotr Chmura

POEZJA LUDOWA GÓRNIKÓW CZESKICH

Przełożył Wincenty Jędrkiewicz

Przed kilkoma miesiącami czechosłowackie Min. Informacji i Oświaty wydało zbiorek „Lidová poesie hornická“. W szeregu zgromadzonych w antologii wierszy i pieśni ukazuje się nam nie tylko bogactwo artystycznych pomysłów ludowej, samorodnej twórczości górników czeskich, ale i bojowość i uświadomienie klasy robotniczej bratniego narodu, stającej w pierwszym szeregu do walki o równość, sprawiedliwość i szczęście. Zbiorek informuje o postępowych tradycjach górnictwa czeskiego, przynosząc równocześnie wiele cennego materiału pracownikom nauki, badaczom folkloru i etnografom. Dotychczasowe badania na tym polu z reguły ograniczały się do twórczości ludowej na wsi, zapominając zupełnie o ludowej twórczości robotniczej, o samorodnej sztuce tworzonej w fabrykach, kopalniach i hutach. Nauka okresu kapitalistycznego bardzo chętnie pomijała zagadnienie artystycznej twórczości robotniczej, zawsze postępowej i o wyraźnym obliczu klasowym. W naszych czasach stoi przed nami poważne zadanie nadrobienia tego wszystkiego, co badania naukowców epok minionych celowo przemilczały. Trud, podjęty przez młodych historyków z Uniwersytetu Karola w Pradze którego owocem są materiały, opublikowane w zbiorku „Lidová poesie hornická“ i opracowywane na seminarium prof. dr. V. Husy, powinien stać się bodźcem dla polskich naukowców i zachęcić ich do przeprowadzenia analogicznych badań i prac w Polsce.

S'ostry i bracia niech posłuchają[1])

Siostry i bracia niech posłuchają,
Co to się stało w pilzneńskim kraju,
W mieście Nyrzany, o tym wie każdy,
Ludzie nieszczęśni.

Na pierwszego maja ogłoszono święto,
Od zeszłego roku dzień ten świętować poczęto,
Dwudziestego kwietnia przyszła doba smutna
Na lud nieszczęsny.

Na ostatnim zebraniu wszyscy uradzili,
Aby kopalnie strajk ogłosiły,
Aby kominy też nie dymiły,
Tym sobie zaszkodzili.

Wojska tam zwołali piesze i na koniach,
Gdy je zobaczyli, wnet strzelali do nich.
W krwi się walali i strasznie biadali
ludzie nieszczęśni.

I dnia trzeciego siedem pogrzebów,
Płakali ludzie w wielkiej żałobie,
Ale nikt nie śmiał z ich towarzyszy
Stanąć przy grobie.

Na środku rynku potem zwołali
Kobiety, mężczyzn, by w szyku stali.
Mówili: kto się poruszy,
Z miejsca go się zastrzeli.

Gdy szło ich tam kilku, strzelali na rynku.
Ani się pytali, co od nich żądają.
Gdy stali tam bracia i patrzeć musieli,
Serca w nich zadrżały, a nic rzec nie śmieli.
Ach, w tej smutnej dobie, Żiżko, powstań z grobu,
Przybądź nam ku pomocy!

1) Wiersz „Siostry i bracia niech posłuchają“ powstał na terenie miasta Nyrzany koło Pilzna w roku 1890 i poświęcony jest krwawym wypadkom, jakie tam wówczas miały miejsce.

Górnikowa córa[2])

Górnikowa córa
Smutnie zapłakała,
Gdy trzystu górników
Przy pracy widziała.

Górnicy, górnicy,
Jak wy się też macie
Za parę krajcarów,
Które zarabiacie?

Bardzo źle się mamy
i biedę cierpimy.
Władza wmawia w nas, że
Danin nie płacimy.

Płacimy daniny
Z ciężkiej, krwawej pracy.
Z naszej pracy żyją
Panowie w pałacach.

U wielu górników
Płaczą głodne dzieci,
A w szafach bogaczów
Wiele złota świeci.

Czekajcie, panowie,
Przyjdzie czas i na was.
Że wzniosą górnicy
W górę pięści na was.

Wzniosą w górę pięści,
Noże, kołki, haki.
Czekajcie, panowie,
Będziecie żebraki!

2) „Górnikowa córa“ jest wariacją pieśni ludowej z okolic Rosicka. Tekst jej pochodzi z ostatnich lat ubiegłego stulecia.

STELCOWSKI

Żona łamistrajka[3])

Łamistrajk się do pracy stroi,
Roboczy strój obleka,
Smutnie nad nim żona stoi
I zdrady męża się lęka.

Proszę ciebie, mężu drogi,
Nie chodź dzisiaj do pracy,
Nie bądź towarzyszy wrogiem,
Wiesz, jaki jest los zdrajcy.

Zważ, ilu naszych braci
Stoi wiernie w tym boju.
Nie powiększaj tej niechęci,
Która przeciw nam stoi.

Łamistrajk do progu idzie.
Widać, że jest rozzłoszczony:
Potopisz ty nas w tej biedzie,
Głupia gęsio, durna żono!

Jaśniepan mi rady dawał,
Bym nie słuchał takiej żony,
Abym nic się nie obawiał,
On mi straż da dla ochrony.

Biedny zdrajco, idźże sobie!
Z ogniem w głosie rzecze ona.
Coś zmieniło się w tej dobie,
Już nie będę twoją żoną!

Wezmę z sobą dziatki małe,
Ty nie śmiej się z nami znać.
Będą ciebie przeklinały,
Żeś im musiał żywot dać.

Precz mi z oczu, gnuśny wrogu!
Gdy zdradzasz swych towarzyszy!
Idźże z rodzinnego progu,
Niech o tobie nikt nie słyszy!

*) „Żona łamistrajka“ opublikowana została w kladneńskim piśmie „Svoboda“ z dnia 1 lutego 1900 roku. Autor tego wiersza, górnik z kopalni w Kladnie nazwiskiem Stelcovsky, wyraża w swoim utworzenie uznanie dla kobiet kladneńskich, które swoją stanowczą i nieugiętą postawą przyczyniły się wiele do imponującego przebiegu ówczesnych strajków górniczych

Wincenty Jędrkiewicz

Czesław Schabowski

Korespondencje analfabety

(Opowiadanie)

Wytknij brygadziście Kiściowi, że jest **niepiśmienny**! Powiedz takiemu, że to wstyd, aby się podpisać nie umiał!

Będzie ci on wtedy wyliczał Hiszpanię, Francję, Anglię, Holandię, jeszcze inne kraje — pół świata ci otworzy! Posłyszysz, ile to złotych medali, zdobytych przez dzielnych przodków, jest w rodzinie jego wychowanków.

Zaś od tysięcy, dziesiątków tysięcy litrów mleka, oddanych przez mamy, babki i prababki jego krów aż biało ci się zrobi przed oczyma!

Kiedy zaś brygadzista Kiść zacznie wyliczać imiona całych pokoleń i to co najmniej dwudziestu byczków — co masz wówczas sądzić o tym analfabecie?

Był on za sanacji fornalem, harował od świtu do ciemnej nocy tylko po to, aby jego książę miał za co łajdaczyć się w krajach, skąd pochodzą przodkowie byczków na obecnym PGR-ze. Nie nauczono go nawet pisać i czytać i teraz ten spadek po jaśnie oświeconym księciu czyni z Kiścia jakby mańkuta, jakby garbatego. Ale widzieliście garbatych albo mańkutów? Oni tak manewrują lewą ręką albo garbem, jakby człowiek musiał mieć garb, jakby mo-

(Rys. S. Gierowski)

żliwość zdjęcia garbu pogarszała jego sytuację. On ci każdym czynem chce dowieść, że z garbem więcej zrobi, niż ty bez garbu. Taki był Kiść.

— Wiecie, co tu było jak nastałem? — Szopa. Rupieciarnia. Taki... kram, od Sasa do lasa!

— ...I ja to przerobiłem. Nie sam, razem z innymi, ale podług mojej myśli... Dyrekcja zespołu dała plan, to prawda, trzymałem się tego papierka, choć kierownik tylko raz mi go wyjaśniał... dostałem ludzi do pomocy, wynieśliśmy wszystkie graty, poszerzyliśmy okna, gnijącą podłogę zamieniliśmy na posadzkę z cegieł. Potem przegrody, też sam pobudowałem, no i żłobki to moja robota... W dwa miesiące była gotowa ta wychowalnia... Za to dostałem premię... Ano, widzicie... A wy, człowiek piśmienny, wybudowaliście chociaż kurnik?

* * *

Odwet na Kiściu zaczął się od pierwszego nr „Obory", czasopisma poświęconego sprawom PGR, Sielencin. Jednym z redaktorów gazetki ściennej został zawzięty wróg analfabetów, były fornal majątku, — Sikora. Po rocznym kursie dla administratorów PGR, został on niedawno kierownikiem Sielencina. Człowiek ten zna się jednako na uprawie ziemi i hodowli, jako też i na polityce.

Już w pierwszym numerze gazetki ściennej Kiść został napiętnowany za lenistwo w likwidacji analfabetyzmu. Gazetka bowiem pośród wielu zadań stawiała sobie za cel również walkę na odcinku oświaty. Ale Kiść mniemał, że jeżeli jest znawcą byczków, pracowitym kandydatem na przodownika, zapisanym w historii majątku, jako jeden z budowniczych planu — to winno się na PGR-ze tolerować jego słabostki. Zbył więc pogardliwym milczeniem artykulik o sobie. Nawet do świetlicy nie zajrzał i udawał, że o niczym nie wie.

Po pierwszym numerze „Obory" ten i ów tylko palcem pokazał na Kiścia. Po drugim zaczęto podśmiewywać się z niego otwarcie. Po trzecim artykule Kiść zaczął się czuć jak gracz, któremu całą noc szła karta i naraz nad ranem szczęście się od niego odwróciło. Kiedy czwarty numer „Obory" zawisł na ścianie, Kiść nie wytrzymał. Akurat było to na jednym z zebrań.

Przodownik pracy i szczęśliwy rywal Kiścia, traktorzysta Kowalczyk pokazując gazetkę powiedział:

— Widzicie, Kiść? Tu napisano o was... A tu o mnie!

Brygadzista wychowalni przede wszystkim zaciekawił się, czy też i Kowalczyka za coś ganią.

Poprosił więc konkurenta we współzawodnictwie:

— Przeczytajcie mi... to o was i to o mnie.

— Eee przyprowadźcie sobie któregoś z waszych sławnych byczków... One z takiej ślacheckiej famielii to i pewnie czytać umieją... Co wy, myślicie, że nie można by takiego byka nauczyć czytać?

Smyka-Kiścia z pierwszej klasy namówił Kiść-ojciec, aby przyprowadził którego ze starszych kolegów może to być ktoś z trzeciego albo nawet z drugiego oddziału. Trafił się taki, Miciuga. Dał mu Kiść słodkiego rogala, wziął do świetlicy i postawił przed gazetką, ustawiając się z tyłu razem z synem.

Potem Kiść założył ręce do tyłu i chodził po izbie, czekając na popis Miciugi. Kiedy tamten jeszcze milczał, Kiść stanął przed nim i przełożył czapkę na bakier, czuł się bowiem w głębi ducha bardzo nieważny wobec tych smyków. Co widząc mały Miciuga, syn dozorcy majątku — zrobił to samo, jakby chcąc odsłonić oczy dla lepszego patrzenia na gazetkę. Wtedy Kiść skręcił okrutnie grubachnego papierosa, zapalił i zaczął puszczać chmury dymu pod nosy malców — aby nie czuli się zbyt ważni!

A mały Miciuga obraca w rękach rogala, przestępuje z nogi na nogę, nie czyta jeszcze, tylko proponuje:

— Wiecie co, Kiść? Ja se najpierw po cichu złożę te litery, a potem przeczytam wam na głos, dobrze?

Mały Miciuga już porusza wargam; początkowo lekko, w skupieniu, nabożnie, z powagą. Potem skrzywia wargi jakoś szyderczo i wiecie wybucha niepohamowanym dziecięcym śmiechem. Rzuca Kiściowi pod nogi jego rogala i smyk przez okno na dwór!

— Stój! Stójże, pieronie! Nic ci nie zrobię!

Kiść posmutniał. Tak posmutniał, że aż małemu Stasiowi zrobiło się żal ojca. Wziął go za rękę i ciągnąc do wyjścia, rzekł:

— Nie trapcie się, tato! Jak ja się nauczę dobrze składać litery to wam przeczytam... Ja się nie boję.

— Won ode mnie, bąku! Jak ty się nauczysz, to też tak będziesz się naśmiewał, jak ta cała banda!

* * *

Już wszystkich analfabetów majątku nauczono pisać i czytać, tylko Kiściowi udało się dotąd przesmyknąć przez gęste oka sieci, która miała zlikwidować pozostałość po jaśnie oświeconych. — Nacisk bowiem na Kiścia obudził w tym upartym człowieku jakąś straszliwą przekorę.

— Niech gromy biją, a ja się tego nie nauczę i koniec. Moim buhajkom nie trzeba mądrych świajcarów! Ja im do żłobu nie dam abecadła, tylko śrut z owsa i kukurydzy! Ho! ho!... Długo by, bidoki pożyły na abecadle!

Pewnego dnia przysłano z Kowar do wychowalni trzy nowe sztuki. Po ich obejrzeniu Kiść pokręcił głową, bo zdały mu się trochę podejrzane pod względem czystości rasy. Ale, że były do nich dołączone papiery — rodowody czy nie rodowody, ale były — i na tych papierach kierownik majątku, Sikora, podpisał się, trzeba więc było byczki przyjąć do wychowalni. Nasz brygadzista zajął się też nimi jak ojciec własnymi dziećmi.

Po kilku dniach Kiść jednak stwierdził, że nie są to buhajki zarodowe, ale zwyczajne sobie cielaki, zdatne jedynie na rzeź lub na woły.

Poleciał więc do kierownika, do tego niewdzięcznego redaktora „Obory", który w biurkach kancelarii chował wszystkie stare gazetki, że Kiść nijak nie mógł się o sobie dowiedzieć.

— Coś mi się zdaje, że ten kierownik z Kowar nabrał nas porządnie. To on, znawca, przysłał do wzorowej wychowalni takie sztuki? Choć czytać nie umiem, ale na tym, jak widzę z nami walczy, to ja się znam! No i na byczkach... On sobie myśli, że jak ja niepiśmienny, to nie wiem, co to jest nasze dobro i komu zależy na tym, aby to dobro niszczyć? Nie dopuszczę, nie daruję, że mu się raz udało z klaczą, to myśli, że uda mu się z buhajkami?

Sikora obejrzał nowe byczki, pokiwał z ubolewaniem głową.

— Rzeczywiście, że nie łaciate, ale jakieś w groszki...

— Ano, widzicie, coście podpisali?

— A wyście na papierach nie narysowali swoich trzech krzyżyków?

—Wyrysowałem, boście kazali, zrecztą... papierki czytaliście wy, nie?

— Moglibyście się, Kiściu, nauczyć wreszcie pisać i czytać, by wiedzieć z papierków, co wam tu przysyłają, a nie z tego, co wam ktoś z łaski przeczyta.

— Ja i bez czytania na nich się poznałem...

A z tym łobuzem trzeba zrobić porządek i oddać go pod sąd! Ja jestem niepiśmienny, ale jakbym siedział w jego duszy — on se tak myśli: Jak te „kurzoki" w Sielencinie się przyjmą, to im poślę węcej... Niech te chamskie dzieci potem zamiast mleka dają wodę...

— Powinniście napisać o tym do naszej gazetki... Wiecie przecież, w ilu to wypadkach sąd zaczyna się w taki sposób... Mogę wam wyliczyć dziesiątki przykładów, gdzie najpierw korespondenci za pomocą gazety pokazali sabotażystę, a potem dopiero milicja go za kark. Sekretarz partyjny z zespołu przyjeżdża często... Kiedy on zobaczy taki artykuł — sprawa pójdzie mocno. Nawet się nie obejrzycie, jak trzeba będzie jechać do sądu na świadka.

— Nie napiszę o tym, ale spróbuję ułożyć sobie w głowie i podyktuję to buchalterowi!

— A żonie waszej nie możecie podyktować? Dajcie spok buchalterowi, ma dość roboty! Siądźcie sobie kiedyś wieczór z waszą żoną przy stole i jej podyktujecie...

Kiść poskrobał się za uchem.

— Kiedy ona... wiecie... też nie tego...

— A co rok prorok, to potraficie, co?

— Czy to na tych „prorokach" nam nie zależy? Może im bieda grozi? Co?

— Ale żeby być dobrym ojcem tylu dzieci, to trzeba umieć pisać i czytać! Krowy wasze chowają się na karmie majątku, działkę też wam PGR obrabia i co wy z czasem w zimie robicie?

— Jeśli wam zazdrość, to wam powiem — leżę sobie do góry brzuchem i założywszy rękę na pępku kręcę palcami, bo mi się tak podoba!

— I nie sprzykrzy wam się to, człowieku?

— Jak mi się sprzykrzy, to młynkuję w drugą stronę!

— Żebyście pękli na takim chlebie.

— Zazdrość wam, żeście, kierownik i tego nie macie?

— Kiść, nie wadźmy się, bo nie ma o co... Wiecie dobrze, że nie chcemy źle dla was...

— Ale mnie to już złości... Żeby to tylko wy! Kto nowy przyjdzie do nas, to mało nie pęknie z zazdrości, że mi się tak dobrze powodzi. Gadają, że pewnie kradnę! Niech tak obsadzają działkę jak ja! Niech tylko posiedzą na zadku cierpliwie tyle lat, co ja, to się dochowają nie takiej gadziny!

Inni latają z majątku na majątek i tracą czas na latanie, zamiast na chów gadziny, to im łatwo zazdrościć, psiekrwie!

— Wiecie co, Kiść, może i o tym należałoby napisać do gazetki. Niech młodzi wiedzą, jaką nędzę mieliście dawniej, a jak się wam teraz żyje! Nie tylko do naszej, ale do takiej warszawskiej gazety powinniście napisać, bo ludzie myślą, że robota w PGR-ze to Bóg wie co. Gdybyście się nauczyli pisać i ułożyli taki artykuł, nasz prezydent dowiedziałby się, że gdzieś w Sielencinie jest taki nie w ciemię bity Kiść. Brygadzista Kiść! Napisalibyście tak — Kiść za panów to był pastuch, cham, gamoń, fornal i potyradło. A teraz — brygadzista! I to taki, co nawet współredaguje gazetkę. Wnet zostaniecie przodownikiem i jaki z was będzie przodownik, jeśli nie nauczycie się pisać.

(Rys. S. Gierowski)

Dlaczego wy sami dla siebie jesteście wrogiem z tym analfabetyzmem?

— Uparliście się wy na mnie, to ja na was i koniec!

— No, to ułożcie ten artykuł o „kurzokach" i sabotażyście z Kowar i podyktujcie go mnie... Trzeba, walnąć drania od razu w ciemię!

Napisany pod dyktando Kiścia artykuł o sabotażu i „kurzokach" wypadł dowcipnie, i tak przekonywająco demaskował, że kto zjechał nie tylko z zespołu do Sielencina i przeczytał go — pękał ze śmiechu, zacierał ręce i rad szukał Kiścia, aby go pochwalić. Artykuł wytykał kierownikowi z Kowar nie tylko „kurzoki". Przypomniał, że ten kułacki synek przysłał do Sielencina swego czasu siano, pod które w naładowany potężnie wóz zaprzągnięte były wysokoźrebne klacze. Kiść oceniając i ten wypadek jako sabotaż, zapytywał „Co z klaczami?"

Dostało się kierownikowi Kowar, bo dostało!

Najpierw „kurzoki" znalazły swój przydział w oddziale CZPM, a potem kułacki kombinator przydział swój — w kryminale.

Autorytet Kiścia podniósł się. Podsunięto mu więc projekt, aby ułożył artykuł o życiu dawnym i teraźniejszym i obiecano wraz z fotografią umieścić go w jakiejś gazecie. Ośmielony zabrał się do roboty. Kiedy jednak buchalter spisał podyktowany artykuł, a przejrzał go sam Walczak, sekretarz Podstawowej Organizacji Kiść dostał się pod nowy obsztrzał.

— Wygląda to tak, wiecie, Kiść — zaczął Walczak — jakbyście sami napisali ten artykuł. O tym, że Was pany gnębiły — jest. Ale o tym, żeście się nie nauczyli pisać i czytać choć my chcemy wam w tym pomóc — ani dudu... O tym, że widzieliście, jak ludzie jeszcze w 1938 roku świecili łuczywem, jest także o naszej nowej umowie zbiorowej, dzięki której za niewielkim zwrotem kosztów możecie trzymać na karmie PGR aż dwie krowy... Ale o tym, że mamy w domach i świetlicy światło elektryczne, że warunki życia pozwalają nam na zaspokajanie wyższych potrzeb, na radio, gazety, książki, o tym u was ani mru-mru. I o tym na koniec, że cóż wam po świetle elektrycznym, po książkach, skoroście zawzięty analfabeta. Gdzie tu samokrytyka, co?

— Jakże tu pisać do gazety, co ją sam prezydent może przeczytać, żem brygadzista i żem niepiśmienny... Prezydent by się zmartwił... A tyle musi się trapić! Jeszcze ten kłopot... Niech już myśli o Planie Sześcioletnim i o tym, żeby nie było wojny i żeby dzieci miały zawsze przedszkole! Dajcie pokój, sekretarzu! Przecież musowo to zakryć niech się nie martwi, że jakiś Kiść nie umie pisać...

— Przestanie się martwić, jak nie będzie nikogo u nas takiego, jak wy! Jak będzie pewny, żebyście mogli pomóc mu, jeśli was się postawi na jakimś ważniejszym stanowisku. Na kim się oprze, jak nie na was, na brygadziście Kiściu?

* * *

Przyjehcał do Sielencina jakiś redaktor gazety; posiedział parę dni w majątku, pogadał ze wszystkimi ludźmi, brał udział w naradach produkcyjnych i odprawach, opowiadał po robocie dużo ciekawych rzeczy w świetlicy, narobił fotografii i wyjechał.

Po dwu tygodniach, kiedy już wszyscy prawie zapomnieli o nim, brygadzista polowy, Oleś, przyniósł jakąś gazetę, akurat taką, jaka do świetlicy wcale nie przychodziła. W tej gazecie była fotografia Kiścia i coś o nim napisane.

Ale co?

Już Kiściowi nie zależało na tym, co piszą o nim, ale byczki! Czy aby ten redaktor wspomniał o budowie wychowalni? O chowie — planach Sielencina — nowego gatunku zarodowców? O nowej umowie zbiorowej? Byczki, jego najślicznieisze buhajki, są na fotografii w gazecie jak malowane! Wypielęgnowane, wykarmione rękami Kiścia!

Mało ze skóry nie wylazł z ciekawości, ale sekretarz utopił tę gazetę w jakiejś szufladzie Sikory i Kiść został na lodzie. Na szczęście jednak Oleś do następnego numeru „Obory" przykleił ten artykuł, wycięty ładnie z gazety i obramowany czerwonym ołówkiem. Zaświtała więc nadzieja, że ktoś przekupiony przeczyta może Kiściowi te cuda!

Ale gazetka jak na złość została usunięta przed niedzielą; a wraz z nią to, co napisał o buhajkach redaktor z Warszawy, razem z fotografią Kiścia.

* * *

Jednego z najbliższych dni brygadzista ogromnie się zdziwił, kiedy u kolczyków każdego ze swych byczków ujrzał tabliczki drewniane ze znakami wyglądającymi na litery.

Co to jest? — pyta Kiść swego chłopca.

— Całe abecadło na wszystkich buhajkach!

Poleciał do kancelarii.

— Kiedy przestaniecie się mną bawić, co? — krzyknął taki rozeźlony, że buchalter umknął za stół.

— Macie tu ostatnie zarządzenie. Już teraz nie ma ani „Apisa", ani „Bitnika", ani „Anzelma", tylko byk „A", byk „B", buhajek „C" i tak aż do „zet"!

— Pewnie, pewnie! Takiemu biedakowi jak ja możecie pokazać nawet muzułmańską biblię, a musi uwierzyć, że to rozporządzenie!...

Pokażcie ten wasz okólnik, niech go dam komu do przeczytania, bo chcę wiedzieć, czy jakichś kawałów ze mną nie robicie.

— A o tajemnicy służbowej nic wam nie wiadomo?

Kiść zmieszał się.

— To pozwólcie mi chociaż na tym papierku swój znak post. ić... Jak się nauczę czytać, to go muszę zobaczyć i jeśli to jakiś cyrograf arabski a nie okólnik — to... trzymajta mnie!

Wrócił do wychowalni i pokazując kręcącemu się tu Stasiowi „Bitnika" zapytał:

— Co jest u niego na tabliczce?

— To jest litera „K".

Następny byczek to „Podjadek".

— A u niego co?

— „Iii"! — piszczy radośnie mały synek brygadzisty.

W trzecim boksie kręci się i złości wspaniały dziarski byczek „Apis" — nazwany tak przez kogoś z zespołu ku niezadowoleniu Kiścia, który przezwał go „Sirotką".

— U tego zaś co?

— „Sśśś" — tłumaczy dalej uradowany malec — A czwarty, tato, to „Cccć" i razem do kupy te cztery byki nazywają się KIŚĆ!

Zabawa ta rozbroiła Kiścia. Tak mu się to spodobało, że co dnia zaczął ustawiać byczki w jakieś słowa. Brał udział w tej zabawie nauce i Staś, chytry malec. Proponował on stale takie ustawianie buhajków, że w boksach można było wyczytać i o PKWN i o Planie Sześcioletnim, o Trasie W — Z, o wszystkim, co posłyszał w szkole.

Raz buchalter wziął Stasia do kancelarii i tam z nim powycinał z kartonu całe stado byczków, które też ponaznaczał literami, a gdy wieczór nadszedł, chłopiec jeszcze raz przerabiał z ojcem to samo, co podczas dnia przerabiał przy boksach. W domu wciągali i matkę do tej zabawy.

Plotki poszły po całym majątku, że synek Kiściów, kończący pierwszą klasę, stał się nauczycielem rodziców i że Kiściowie podobno już nieźle sylabizują; brygadzista, jednak nadal udawał analfabetę i na wszelkie nagabywania był ślepy i głuchy. Ale przyjechał Walczak i wezwał Kiścia.

— Czemu to nie dyktujecie nowych artykułów do gazet? Co?

— A bez to, żeby nie okłamywać Prezydenta, że niby wyglądam ho, ho, na jego podporę, a jestem w rzeczy samej niepiśmienny.

— A na samokrytykę wciąż was jeszcze nie stać?

— Do samokrytyki potrzebna jest krytyka.

— To mało was w „Oborze" naobjeżdżano?

— W każdym numerze, ale ja z tego nic nie wiem.

— A chcecie wiedzieć? To ja wam przeczytam.

— Iii... — Kiść uśmiechnął się chytrze — wy mi ino wydobądźcie te gazetki od Sikory, a ja se już sam dokumentnie wyczytam.

Walczak popatrzył uważnie w oczy Kiściowi, potem się uśmiechnął i rzekł:

— Ach, tak... Więc napiszecie samokrytycznie?

— Znaczy się, podyktuję.

— A o tym, że trzeba się wam nauczyć również **pisać** — też podyktujecie, co?

— Rozumie się, tego to ja się nauczę jeszcze prędzej, bo już wiem, o czym będę pisał. Mądra rzecz ta gazetka, żeby nie ona — jeszcze bym czytać nie umiał, nawet analfabecie się przydała.

Czesław Schabowski

ANDRZEJ BRAUN

Piosenka agitatora wiejskiego*)

„Oj biją mnie, biją, zabić mnie nie mogą,
a bo mnie dziewczyna zastawiła nogą.
Zastawiła nogą, zastawiła ręką,
oj biją mnie, biją pod tą Bożą męką."

Odejdź, dziewczę, nie chroń mnie od chłopa —
oni ślepej pełni nienawiści.
Wśród nas przepaść mroku czas wykopał —
ja chcę myśl ich z pajęczyn oczyścić.

Granatowi bili nas pałkarze,
a i wcześniej, za pańszczyzny. Za to
ja za miedzą nienawiści waszej
widzę sny prześcigający traktor.

Wasze ręce, czarne niby ziemia,
ksiądz oszczerstwem pozaciskał w pięści.
Oczekujcie łatwo rozgrzeszenia,
gdy ostatni papierek zachrzęści.

Wy mówicie: „Zdechniesz tutaj draniu..."
to kułacka mówi przez was wódka.
Mnie bijecie? chłopa jak wy sami —
jedna była nasza dola smutna.

Myśmy kłosy wybierali z rżyska,
psy bezdomne, żywiące się z resztek,
myśmy grzbiet sprzedali im na zyski —
dla nich morgi, i modły, i respekt...

My, zgarbieni w historii uprzęży,
nie wygrzani w dziedzicznych pierzynach,
potrafimy ten wyzysk zwyciężyć
na spółdzielczych, biedniackich maszynach.

Odejdź, Maryś, nie chroń mnie od chłopa —
oni w ślepej pełni nienawiści.
Ich świadomość biedniacka na opak —
ja chcę wzrok ich z pajęczyn oczyścić.

Komunista, to człowiek uparty,
choćżem zgiął się, chociażem przyklęknął,
wstanę siłą klasy swej i partii,
choć mnie biją dziś pod Bożą męką.

Cóż, że usta ciemna krew zalewa,
nie płacz, dziewczę, jutro piosnka nie ta —
nie przestanę budzić w nich człowieka
i o dniu jutrzejszym będę śpiewał...

*) Wiersz z tomu „Reportaż serdeczny", który ukaże się w najbliższym czasie nakładem „Książki i Wiedzy".

Rys. Regina Wiśniewska, ucz. kl. VI z Jaskółowic gm. Nasielsk

ZDZISŁAW WRÓBEL

WYCHOWANIE BUDOWNICZYCH KOMUNIZMU

1.

Żadna z wydanych po wojnie powieści o tematyce wiejskiej nie daje nam tak wszechstronnego i głębokiego oświetlenia problematyki wsi radzieckiej, jak nagrodzona w r. 1949 premią stalinowską pierwszego stopnia powieść Siemiona Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy"[1]) i stanowiąca jej dalszy ciąg powieść „Światło nad ziemią"[2]). Babajewski doskonale uchwycił dążenie ludzi radzieckich do tworzenia coraz lepszego i szczęśliwszego życia, charakterystyczny dla powojennej pięciolatki rozmach budownictwa, który ogarnął najdalsze zakątki Związku Radzieckiego.

Siemion Babajewski

Inicjatywa budowy elektrowni wodnej w stanicy Ust' Niewińskiej, — to nie jakiś wyjątkowy wypadek, ale zjawisko typowe dla wsi socjalistycznej. Tu powstaje elektrownia, tam wyrasta miasto kołchozowe, a gdzie indziej już elektryczne traktory i dojarki wyręczają człowieka. Babajewski potrafił z niezrównanym mistrzostwem rozwinąć przed nami kolejne etapy tego procesu. Projekt wychodzi z dołów, rodzi się na zebraniu aktywu stanicy, na którym każdy dorzuca swoje uwagi i uzupełnienia. Jest to już szczegółowy plan, który nie tylko obejmuje budowę elektrowni, ale i podwyższenie urodzaju, zwiększenie pogłowia bydła, podniesienie poziomu kulturalnego wsi. Cała stanica przystępuje do walki o realizację planu, a wnet do akcji przyłącza się cały powiat. Zbiorowy wysiłek szybko doprowadza dzieło do końca.

Ten pierwszy etap, który stanowi główny wątek powieści „Kawaler Złotej Gwiazdy", kończy się przeprowadzeniem elektryczności do mieszkań dla ich oświetlenia. Powieść „Światło nad ziemią" pokazuje dalszą drogę: próby mechanizacji pracy ręcznej, szkolenie techniczne ludzi i początek realizacji planu przekształcenia przyrody. W miarę postępów budownictwa i rozszerzania się jego zasięgu, rosną i rozwijają się bohaterowie powieści, zmienia się ich oblicze moralne, ich stosunek do pracy, dojrzewa ich świadomość polityczna. Życie osobiste ludzi związane jest ściśle z pracą, ich przeżycia wewnętrzne z konfliktami, które z niej wynikają. Tą drogą pisarz mógł najpełniej i najwyraźniej ujawnić wewnętrzne wartości swoich bohaterów, których prawdziwość i typowość tak sugestywnie przemawia do czytelnika.

2.

W osobie Sergiusza Tutarinowa, kawalera Złotej Gwiazdy, Babajewski stworzył jedną z najbardziej udanych postaci powojennej literatury radzieckiej — typowego przedstawiciela młodego pokolenia.

Sergiusz zaraz po powrocie z wojny przystępuje do realizacji nowych, bojowych zadań. Na froncie jego czołg pierwszy wyrywał się na niemieckie okopy, a więc w pokojowym budownictwie Sergiusz także musi przodować. Przyjaciel Sergiusza Sawa Ostrouchow, przewodniczący wiejskiej rady, marzył o założeniu elektryczności, marzyli o tym i inni mieszkańcy Ust' Niewińskiej, ale jakoś nikt nie umiał przystąpić do pracy. Sergiusz z miejsca bierze się do czynu.

Umiejętności kierownicze Sergiusza przejawiają się w całej pełni przy organizowaniu spławu drzewa. Potrafił on planowo rozstawić ludzi i słusznie podzielić pracę, która dzięki socjalistycznemu współzawodnictwu szybko zostaje zakończona. Poważnie, po bolszewicku podchodzi nasz bohater do propozycji objęcia przez niego stanowiska przewodniczącego rady rejonowej. Mierzy wpierw swoje siły, zastanawia się, czy podoła tej trudnej pracy, nie patrzy na nią od strony zaszczytów, lecz od strony obowiązków, które chciałby wykonać jak najlepiej.

Gdy zdecydował się podjąć zadanie, zabiera się do niego z całą swoją młodzieńczą energią, wkłada weń całą duszę. Główną cechą jego stylu pracy jest stały kontakt z masami: „...*jak tam na froncie, tak i tu w swoim rejonie, Sergiusz widział siebie jako maleńką i nieodłączną cząstkę wielkiego kolektywu, i interesy ludzi tam i tu, całe ich trudne, natężone życie ze swoimi radościami i smutkami były i jego interesami i jego życiem.*"

Sergiusz zagląda do każdej stanicy i chutoru swego powiatu, do każdego niemal kołchozu. Poznaje ludzi, pomaga im, przysłuchuje się ich krytyce, wciąga do odpowiedzialniejszej pracy zdolne jednostki i demaskuje szkodników. Nie ma dla niego godzin urzędowania, ani różnicy między dniem i nocą, istnieje tylko praca. Siłą napędową, która go pcha nieustannie naprzód do nowych czynów bohaterskich, jest miłość do socjalistycznej ojczyzny.

Rejon Sergiusza mógł wnet poszczycić się dużymi sukcesami. We wszystkich stanicach i chutorach, na placach, ulicach i zaułkach, w kołchozach i na stepie zapłonęło elektryczne światło. Życie ludzi od razu stało się jakieś jaśniejsze, z jeszcze większą nadzieją i optymizmem spojrzeli w piękną przyszłość, która otwierała się przed nimi. Taki nastrój spotykamy na początku „Światła nad ziemią". Widzimy jednak, że Sergiuszem owładnęło uczucie samozadowolenia i uspokojenia, że patrzy na świat i ludzi przez różowe okulary optymizmu i wszyscy wydają mu się dobrzy, pozbawieni wad.

Nasz młody bohater przestaje więc odnosić się krytycznie do ludzi i do siebie, dostaje niebezpiecznego „zawrotu głowy od sukcesów", zatrzymuje się w miejscu, poprzestaje na osiągniętym, zamiast rozwijać się dalej i walczyć o wykonanie nowych zadań. Sergiusz nie dostrzega, iż z zaprowadzenia elektryczności jest na razie tylko tyle pożytku, że baby smażą kurczaki na elektrycznych maszynkach i przewodniczący jednego z kołchozów urządził w swoim biurze sygnalizację; nie widzi, że turbina obraca się w dzień bezczynnie, podczas gdy można by wykorzystać energię elektryczną do mechanizacji robót polnych, a zwłaszcza do młócenia zboża. Co gorsza, przestaje on zwracać uwagę na głosy krytyki. Nie słucha mądrych rad Ragulina, zbywa narzekania Siemiona, nie rozumie napomknień Kondratiewa, a nawet cierpkie słowa ojca nie otwierają mu oczu.

Błędy Sergiusza Tutarinowa i starcie z nim innych ludzi rejonu — to konflikt typowy dla obecnego etapu rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Olbrzymie sukcesy we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, a także w zakresie nauki i kultury, mogą wywoływać u niektórych działaczy politycznych, u kierowników na najróżnorodniejszych odcinkach, stan samozadowolenia, uspokojenia i bezczynności. Na zjawisko to wskazywali kierownicy Partii bolszewickiej, w szczególności tow. Malenkow w swoim przemówieniu z ubiegłego roku. Kierownik, który nie dostrzeże swoich błędów dość wcześnie i zatrzyma się w miejscu, nie dogoni już życia, które pędzi naprzód, popadnie w konflikt ze społeczeństwem. Na tym polegała np. tragedia Chochłakowa, do której zresztą jeszcze wrócimy.

Ale Sergiusz, dzięki pomocy sekretarza rejonowego komitetu Partii Kondratiewa, zdołał przezwyciężyć swoje błędy. Kondratiew w przyjacielskiej rozmowie wskazał mu, że wszedł na niewłaściwą drogę, ostrzegł go przed niebezpieczeństwem, jakie mu grozi, gdy nie oceni samokrytycznie swojej pracy.

Rozmowa z Kondratiewem wywołała u Sergiusza głęboki wstrząs wewnętrzny. Gdy przemyślał ją dokładnie i zrozumiał, jakie popełniał błędy, zupełnie innymi oczyma spojrzał na swoją pracę w ostatnim okresie i w innych barwach widział teraz życie rejonu. Przejeżdżając przez stanice i chutory, spotykając się i rozmawiając z ludźmi, zaczął dostrzegać dziwną przemianę: wszystko, co jeszcze wczoraj zabarwione było na różowo, teraz stanęło przed nim w zupełnie nowym świetle. Wszędzie panował błogi spokój. Słupy, zwiezione do budowy linii elektrycznej w polu, leżały sobie spokojnie na placu, glina i piasek do budowy budek transformatorowych porastały chwastem, motory elektryczne, druty, izolatory leżały w magazynach. Sergiusz pojął teraz, jak niebezpieczny był ten stan „zawieszenia broni" i z miejsca przystąpił do nadrobienia straconego czasu. Z tą samą energią, z którą pracował przy budowie elektrowni, zabrał się do realizacji nowych planów i tak jak przedtem porwał za sobą cały rejon.

3.

W powieści „Światło nad ziemią", osoba Sergiusza Tutarinowa schodzi raczej na drugi plan. Najwięcej uwagi autor poświęca wspomnianemu już wyżej Kondratiewowi, sekretarzowi rejonowego komitetu Partii. Uosabia on starą gwardię bolszewików, zahartowanych w walce rewolucyjnej, doświadczonych w pracy polityczno - wychowawczej. Kondratiew — to człowiek o niewzruszonych zasadach, o żelaznej bolszewickiej woli, to rozważny i energiczny kierownik, ale przede wszystkim czujny i wnikliwy wychowawca. Tę ostatnią jego cechę rozwija Babajewski szczególnie starannie w pierwszej części „Światła nad ziemią."

Kondratiew zdaje sobie sprawę z tej wielkiej dziejowej misji, jaka stoi przed komunistami: „...*Na nas, komunistów, sama historia nałożyła wielką misję — wybawić ludzi od tych moralnych i duchowych ułomności, które zrodził kapitalizm.*"

Dlatego z troską i wnikliwą uwagą obserwuje on ludzi w pracy i pomaga im, gdy popełniają błędy i schodzą ze słusznej drogi. Przykładem takiej pomocy jest praca Kondratiewa nad Sergiuszem, o której była mowa wyżej i jeszcze może bardziej pouczająca opieka nad początkującą pracowniczką partyjną Tatianą Niecwietową.

4.

Zagadnieniu kierownictwa kołchozem poświęca Babajewski także wiele uwagi. Od początku książki „Kawaler Złotej Gwiazdy" stawia on przed czytelnikiem pytanie: jak powinien postępować przewodniczący kołchozu? Sam nie od razu daje na nie odpowiedź, gromadzi początkowo fakty i przykłady, a nam pozostawia ich ocenę. I może się zdarzyć, że czytelnik w pierwszej chwili nie potrafi osądzić, kto gospodarzy słusznie: szczodry Artamaszow czy skąpy Ragulin. Ci dwaj przewodniczący sąsiadujących ze sobą kołchozów stanowią przeciwieństwo pod każdym względem.

Artamaszow ma szeroką duszę i szeroki gest. Lubi ubrać się pięknie i jeździć po okolicy strojną taczanką, lubi przemawiać górnolotnie i obiecywać wiele. Wedle jego słów nigdzie nie dzieje się lepiej jak w kołchozie im. Woroszyłowa, którym on kieruje, i nie ma lepszych ludzi od woroszyłowców. W rzeczywistości zbiory nie przekraczają u niego 8 cetnarów z hektara, ziemia jest zaniedbana i nieuprawiana. W dodatku Artamaszow roztrwania także bydło i inne produkty. Długo by może jeszcze „gospodarzył" w ten sposób, ku zadowoleniu byłego przewodniczącego rady rejonowej Chochłakowa, gdyby nie interwencja Sergiusza. Za te wszystkie przewinienia Artamaszow zostaje usunięty z zajmowanego stanowiska i wydalony z partii. Tu znowu widzimy, jak Kondratiew czuwa nad naprowadzeniem wykolejonych ludzi z powrotem na właściwą drogę. Artamaszow dostaje łankę i na tej nowej funkcji powoli (choć nie do końca) wyzbywa się dawnych wad i za wysiłki nad podniesieniem urodzaju, otrzymuje nawet odznaczenie.

Staruszka Ragulina, przewodniczącego kołchozu im Budiennego, złośliwi sąsiedzi nazywali skąpcem. Skąpstwem w ich oczach była walka z marnotrawstwem, z nieporządkami, za skąpstwo uważano jego oszczędność i gospodarską zapobiegliwość. Jeżeli Ragulin przesadza nawet w gorliwości, to w każdym razie w kołchozie widać wyniki jego pracy. Zbiory przekraczają już 30 cetnarów z hektara, czyli wynoszą blisko 4 razy tyle co w kołchozie Artamaszowa. Ale nasz staruszek nie poprzestaje na tym i stawia sobie jeszcze wyższe zadania. Jego zaradność gospodarska przejawia się także po zaprowadzeniu elektryczności. On pierwszy wykorzystał energię elektryczną do pracy przy młóceniu zboża. Ragulin również chętnie poucza wszystkich, którzy się zwracają do niego po radę. Nawet Artamaszowowi, który kpił z niego, udziela wskazówek i pomaga w podniesieniu urodzaju. Upór, z jakim zabiera się do zgłębienia tajników elektryczności — to jeszcze jeden rys dodatni charakteru tego dzielnego człowieka.

5.

Na przykładzie Nikity Malcewa, następcy Artamaszowa, widzimy znowu, jak szybko w Związku Radzieckim rosną i rozwijają się ludzie, jak Partia mądrze ich wychowuje i prowadzi do coraz trudniejszych i odpowiedzialniejszych zadań. Nikita ma zaledwie 20 lat. Nie dawno jeszcze dorośli jak gdyby nie zauważali go. Jako komsomolca używano go do dekoracji klubu, do rozklejania afiszów i zwoływania na zebranie. Teraz już zabiera głos w dyskusjach, prenumeruje „Prawdę", otrzymuje poważniejsze zadania do wykonania. Sumienną pracą przy spławie drzewa Nikita zwraca na siebie uwagę kierownictwa, które powierza mu brygadę. W końcu spotyka go nowy awans — zostaje przewodniczącym kołchozu. Także na tym stanowisku młody aktywista stara się nie zawieść zaufania, którym go obdarzono. Uważnie obserwuje pracę Ragulina, często korzysta z jego rad, słucha starszych i mądrzejszych towarzyszy. W pracy kształci się i wychowuje ofiarny działacz społeczny, bojownik oddany interesom narodu.

Pokazując na wielu przykładach, takich jak Sawa Ostrouchow, Siemion Gonczarenko, Głasza Niesmasznaja, jak rośnie młode pokolenie, Babajewski nie zapomniał także o innym, typowym dla kraju socjalizmu zjawisku, o odrodzeniu starszej generacji, o drugiej twórczej młodości ludzi, których prawdziwa młodość upłynęła w warunkach carskiego ucisku. Iluż to uczonych, artystów, pisarzy dopiero po Rewolucji nabrało pełni sił twórczych?

Prochor Nienaszew, prosty i nieuczony człowiek, przeżywa podobne przeobrażenie. W ciągu niespełna roku Prochor przemienił się do niepoznania. Prace związane z budową elektrowni wodnej obudziły w nim wprost niepojętą energię. Najpierw wraz z Sergiuszem kieruje spławem drzewa, później bierze udział w budowie elektrowni, a wreszcie zdobywa elementarne wiadomości techniczne i staje się pierwszym pomocnikiem inżyniera Graczowa. Uczy się przede wszystkim praktycznie, ale równocześnie z niesłychanym uporem pracuje nad przyswojeniem teorii, mimo że przychodzi mu to nie łatwo.

6.

Przyjrzyjmy się teraz postaciom negatywnym obu powieści. Ich znaczenie wychowawcze jest nie mniejsze od postaci omówionych wyżej. Zarozumialstwo, fałszywa duma, biurokratyzm i obojętność na krytykę Chworostiankina, błędy Chochłakowa, którego samo życie wyprzedziło, są przestrogą dla tych wszystkich działaczy partyjnych i kierowników, którzy oderwali się od mas, którzy przestali nad sobą pracować i nie rozumiejąc dialektyki rozwoju, zatrzymali się w miejscu. Widzieliśmy początki tego niebezpiecznego stanu u Sergiusza Tutarinowa. Sergiusz jednak potrafił od razu przezwyciężyć swoje błędy. Gorzej jest z Chworostiankinem. U niego „choroba" jest już tak zaawansowana, że wymaga długiego i bardzo umiejętnego leczenia. W miarę rozwoju akcji widzimy już pierwsze wyniki „kuracji", którą przeprowadza Tatiana. Natomiast beznadziejnie przedstawia się sprawa Chochłakowa. Jego zły styl pracy kształtował się w ciągu wielu lat i nikt nie zwracał mu uwagi, że pracuje niewłaściwie. Przeciwnie, pochlebstwa ludzi, którzy błądzili tak jak on, utwierdzały go w przekonaniu, że postępuje słusznie. Po ustąpieniu ze stanowiska przewodniczącego rady rejonowej, Chochłakow zamiast cieszyć się z wyników pracy swego młodego następcy Sergiusza, patrzył na niego przez ciemne szkła urażonej ambicji. Tu tkwiło źródło konfliktu z otoczeniem.

Analizując typy ujemne napotykamy na pierwsze słabe strony obu książek Babajewskiego. Krytycy radzieccy zarzucają autorowi, że postać Chworostiankina wypadła karykaturalnie i mało przekonywająco. Także Chochłakow, choć pogłębiony psychologicznie, może dziwić czytelnika, zwłaszcza w powieści „Światło nad ziemią". Słuszny wydaje się zarzut, że kilka rozdziałów, poświęconych „spiskowi" Chochłakowa i Naryżnego przeciwko planom Sergiusza, nic już nie dorzuca nowego do tej odpychającej sylwetki.

7.

Zajmowaliśmy się dotychczas wartościami ideowymi powieści Babajewskiego, nie można jednak pominąć ich wysokich walorów artystycznych. W przeciwieństwie do wielu dotychczasowych książek o wsi radzieckiej, w których próbowano z mniejszym lub większym powodzeniem stosować dialektyzmy, Babajewski używa języka literackiego w mowie potocznej prawie wszystkich postaci, niezależnie od wieku, wykształcenia i wykonywanej pracy. Oczywiście są pewne różnice między mową Timofieja Iljicza i jego syna, między słownikiem Niłowny i Ireny, swoiste kupieckie wyrażonka ma Rubcow-Jemnicki, a kwieciste wyrażenia Chworostiankin, jednak nikt z nich zbyt mocno nie odbiega od języka literackiego. Babajewski wychodził ze słusznego założenia, że na obecnym etapie rozwoju wsi radzieckiej, gdy mechanizuje się pracę ręczną, gdy zacierają się właściwie różnice między wsią i miastem, nie może być dużych rozpiętości pomiędzy słownictwem kołchoźnika, robotnika czy działacza społecznego.

W barwnych, dynamicznych opisach przyrody Babajewski jest spadkobiercą najlepszych tradycji rosyjskich realistów XIX wieku, zwłaszcza Turgieniewa. Tak opisywać przyrodę może tylko człowiek, który ją mocno ukochał, który sam przeżył wielokrotnie to, o czym pisze. Babajewski rozpoczyna zwykle poszczególne rozdziały od opisu szaty roślinnej pól, stepu, sadów w różnych porach roku i dnia. Najlepiej udają mu się takie pejzaże, w których jest dużo barw, jak na przykład noc księżycowa, nadchodząca burza, świt nad Kubanią, step jesienią, falująca w słońcu pszenica. Przy czym pejzaż Babajewskiego jest zawsze dynamiczny, nierozdzielnie związany z akcją powieści. To nie martwe tło fabuły, ale jej składowa część. Np. opis wylewu Kubani, którym rozpoczyna się powieść „Światło nad ziemią", wywołuje poczucie radosnej mocy, nagłego wyzwolenia sił. Tej niepohamowanej energii rzeki odpowiada nastrój, w którym znajdował się Sergiusz po pierwszych sukcesach budownictwa, gdy świat wydawał mu się piękny, a ludzie tacy dobrzy, gdy czuł w sobie nagromadzenie siły i szczęścia. I jego energia jak energia Kubani marnowała się w tym czasie bezużytecznie.

W podobny sposób można by powiązać inne opisy przyrody z przeżyciami bohaterów lub z sytuacjami powieściowymi. Szkoda tylko, że oba polskie przekłady „Kawalera Złotej Gwiazdy" w znacznej mierze zubożają artystyczne środki wyrazu Babajewskiego. Szczególnie dotyczy to opisów przyrody. Tam, gdzie tłumacz napotyka na trudności, po prostu opuszcza dane słowo, zdanie, czy nawet dłuższy fragment. Inną osobliwością stylu Babajewskiego są częste, bezpośrednie zwroty do czytelnika, pełne poczucia humoru.

Trzeba u Babajewskiego jeszcze podkreślić wielką umiejętność psychologicznego analizowania działających osób, szczególnie w chwilach ich wewnętrznej walki. Do takich najbardziej udanych fragmentów trzeba zaliczyć przeżycia Artamaszowa po zebraniu, na którym został usunięty z partii. Przypomina on sobie poszczególne zdania, skierowane przeciwko niemu, swoje zachowanie i zachowanie innych i w ten sposób odtwarza się przed nami cały przebieg zebrania, ze znacznie większym napięciem dramatycznym niż to miało miejsce w bezpośrednim opisie. Taki sam chwyt stosuje autor kilkakrotnie z równie udanym rezultatem.

8.

Powieści Babajewskiego owiane są bliskością nadchodzącej epoki komunizmu. Wyczuwa się ją na każdej niemal stronicy, autor wraz ze swymi bohaterami wyraźnie dostrzega jej perspektywy:

„ — *Wiktorze, powiedz* — zwraca się Sergiusz Tutarinow do swego przyjaciela — *czy wierzysz w to, że komunizm już widać, że się go odczuwa? Że oto jest tuż, tuż!... Spojrzyj na nasz górny bieg Kubania! Tu urodziliśmy się obaj i wyrośli i trzeba być ślepym, by nie widzieć, jakie zaczęliśmy życie. Jeszcze całkiem niedawno tutaj w Ust' Niewińskiej nie tylko nasi dziadkowie, lecz nawet ojcowie żyli w ciemnocie i wstecznictwie: w tej samej Ust' Niewińskiej zainteresowania ludzi przez wieki całe nie wychodziły za obręb ich podwórka, ich obejścia: tutaj, gdzie stały chaty naszych ojców, żyło odwieczne zwierzęce prawo — panuj, rujnuj, niszcz słabego i wzbogacaj się... A co widzisz obecnie? Ust' Niewińska dotrzymuje kroku najbardziej przodującym miastom — kto mógł nawet marzyć o tym? A jej mieszkańcy stali się silniejsi i piękniejsi... Człowiek stał się mądrzejszy i szlachetniejszy.*"

A w innym miejscu czytamy:

„ — *Teraz wszystkie drogi prowadzą do komunizmu i nasze najważniejsze zadanie polega na tym, ażeby po tych drogach szli ludzie o szlachetnej duszy, o czystym sumieniu, o mocnej woli i odwadze, umiejący przekształcać marzenia w rzeczywistość...*"

Jeżeli wyciągniemy stąd wniosek, że zadanie takie stoi również przed pisarzem, to z kolei musimy stwierdzić, że obie powieści Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy" i „Światło nad ziemią" spełniają je w całej rozciągłości — wychowują budowniczych komunizmu.

ZDZISŁAW WRÓBEL

---

1) Siemion Babajewski, „Kawaler Złotej Gwiazdy", t. 1, przeł. z jęz. ros. Tadeusz Łopalewski, t. 2 przeł. Stanisław Furmanik, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Biblioteka Chłopskiej Drogi Nr. 10 i 11.

2) S. Babajewski „Światło nad ziemią" cz. 1, Literatura Radziecka Nr 8, 1950, cz. 2 jak 1.

JÓZEF CZERNI

PROBLEMY KRYTYKI

(Literacka prasa radziecka)

Zagadnienia krytyki literackiej są stale aktualnym, jednym z centralnych tematów czasopism radzieckich. „Szkoła rzemiosła", „Palące zadania krytyki literackiej", „Nowe książki krytyków" — oto pierwsze z brzegu tytuły artykułów, jakie spotyka się stale na łamach pism. W artykułach tych powstaje nowa myśl krytyczna, precyzuje się konsekwentnie jej metoda; pogłębiają się jej wpływy na pisarzy. Coraz wspanialszemu bowiem rozwojowi literatury towarzyszy coraz większy wzrost zapotrzebowania na liczne kadry nowych, dobrych i rzetelnych krytyków. Stąd codzienna bezkompromisowa walka o poziom i jasność ideową krytyki, o jej stały rozwój.

„W okresie powojennym — czytamy w jednym z ostatnich numerów „Literaturnoj Gaziety" — literatura nasza wzbogaciła się o nowe utwory, dobitnie i wszechstronnie odzwierciedlające przejawy życia radzieckiego, pomagające walczyć i zwyciężać na drodze do komunizmu. Dalszy wzrost i doskonalenie literatury jak i sztuki w ogóle jest niemożliwe bez pomocy wysoce ideowej krytyki, opartej o naukę marksizmu-leninizmu, krytyki zasadniczej, nie nadskakującej a wymagającej. Potrzebna nam krytyka, która rozpatruje literaturę od strony życia, staje się poważnym narzędziem propagandy i komunistycznego wychowania, krytyka, która stale i czynnie oświetla proces literacki i wpływa na jego ukształtowanie. Książka prawdziwego krytyka-znawcy literatury, to samodzielny utwór literacki mający znaczenie naukowe i artystyczne: naukowe dlatego, że posługuje się naukową metodą analizy marksistowsko-leninowskiej — artystyczne zaś dlatego, że w ostatecznym wyniku uczestniczy ona w artystycznym poznaniu świata, tworząc obraz dzieła i jego twórcy w najściślejszym kontakcie z rzeczywistością. Posiadamy znakomite tradycje przodującej krytyki, tradycje rewolucyjnych demokratów: Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa. Posiadamy teoretyczny skarbiec, przy pomocy którego można i trzeba budować naukowe uogólnienia procesu literackiego, a mianowicie — naukę Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina. Artykuły W. I. Lenina o rosyjskich klasykach: Hercenie, Czernyszewskim, Tołstoju, listy W. I. Lenina i J. W. Stalina do pisarzy, prace J. W. Stalina o językoznawstwie, czy tak podstawowe dokumenty jak decyzje partii w sprawach literatury i sztuki — oto najbogatsze źródło, jakie nie tylko pomaga naszej krytyce w zobrazowaniu stanu naszej literatury, ale również oświetla „reflektorem drogę naprzód", do literatury komunizmu. Owocne doświadczenie wymagającej, życzliwej a głębokiej krytyki czerpiemy z krytycznej spuścizny założyciela radzieckiej literatury, A. M. Gorkiego".

Dalej autor artykułu, wskazując na pewne niedostatki obecnej krytyki radzieckiej—często powierzchowność, płytkość i formalizm analizy, nieprzezwyciężenie do końca burżuazyjnego obiektywizmu), podkreśla równocześnie, że w ciągu ostatnich dwóch lat wyszło wiele dzieł krytycznych, odpowiadających najwyższym wymogom nauki naszych czasów. Referent wylicza olbrzymią ilość poważnych pozycji krytyczno-literackich, między innymi np. prace — N. Maslina i Usijewicz, Naumowa („Seminarium o Majakowskim"), W. Piercowa (o młodzieńczych utworach Majakowskiego), L. Skorino (o Bażowie), B. Brajninej (o K. Fiedinie), W. Kurilenkowa, (o A. Serafinowiczu), I. Leżniewa, (o Szołochowie), I. Wekslera (o A. Tołstoju), Mozolkowa (o Janku Kupale, Nagroda Stalinowska 1949) i inne.

„Opracowywanie — czytamy dalej — problemów teorii literatury winno nierozłącznie towarzyszyć rozwiązywaniu konkretnych zadań samej krytyki. I odwrotnie — w dociekaniach krytycznych powinno się rozwiązywać problemy teoretyczne, tak, jak to było w niepospolitych pracach Bielińskiego, Czernyszewskiego i Gorkiego".

„Jednym z najważniejszych zadań — kończy autor pod adresem radzieckiej prasy literackiej — jest organizacja systematycznej, fundamentalnej, życzliwej a surowej krytyki krytyków. O pracach bowiem samych krytyków wspomina się bardzo rzadko, przeważnie tylko wtedy, kiedy krytyk popełni poważny błąd. Ale o osiągnęciach tego samego czy innego pisarza, pracującego w dziedzinie krytki, mówi się jeszcze rzadziej. Głęboka i trafna krytyka — to jeden z podstawowych warunków rozwoju literatury. Jest ona zarazem wychowacą szerokich mas ludowych, nieodzownym nauczycielem życia, pomocą w poznaniu sztuki i trybunem wzywającym do walki o triumf idei Lenina - Stalina".

„Radziecki krytyk i literaturoznawca — pisze inny publicysta — to nie beznamiętny sędzia, srogo patrzący z boku na pracę pisarza. To przecież taki sam jak i pisarz budowniczy przepięknego gmachu literatury nadchodzącego komunizmu."

Józef Czerni

FRANCISZEK FENIKOWSKI

CZUJNOŚĆ*)

Zebranie egzekutywy miało się odbyć zaraz po pracy. Prosto z pochylni poszedł więc Nowak do domku z czerwonej cegły, który wyglądał na Stoczni trochę nieoczekiwanie, ot, jakby przywędrował tu z dalekiego przedmieścia i zagubił wśród rozległych warsztatów i wysokich bloków drogę powrotu. W tym niepozornym, parterowym budynku mieściło się sztoczniowe koło PPR. Tu właśnie odbywały się posiedzenia egzekutywy.

Wyznaczona godzina zbliżała się. Ze wszystkich stron Stoczni schodzili się członkowie. Ignacy czekał niecierpliwie, czy nie nadejdzie wreszcie i Łabędzki z odlewni. Ale zamiast niego zobaczył bocianią posłać Paczkowskiego, który przyszedł na samym końcu.

— Co wam, towarzyszu? Wyglądacie jak taki, co chce udusić ojca i matkę! — zażartował narzędziowiec, dogoniwszy z łatwością na swych szczudłowatych nogach utykającego kolegę.

Brygadzista niterów bardziej niż kiedykolwiek przypominał posępnego puchacza. W ostatnich czasach wychudł bardzo, nos zaostrzył mu się jak dziób.

— Nie zawsze jest człowiekowi do śmiechu! — bąknął.

— To źle! — przeciągnął Paczkowski. — Śmiech to zdrowie! Pośmiejesz się, pożartujesz — zaraz robota lepiej idzie i ludzie nie rzucają się o byle co... Ja to dobrze widzę u nas w narzędziowni na drzewnym! Jak się kto zgłosi po jakie narzędzie i zaraz go nie dostanie, bo na magazynie nie ma, to zaczyna robić piekło, jakbym ja był winien! A wszystko dlatego, że nie umiem powiedzieć nic do śmiechu! Mówił Trepczyk, wiecie, jak to załatwiał ten, co był przede mną narzędziowym. Przychodził na ten przykład do niego ktoś po świder 6 m/m... „Macie?“ — pyta. „Mam!“ „No to dawajcie!“ „Chcielibyście! To tak zaraz nie idzie!“ „Czemu?“ „Bo schowany.“ „Gdzie?“ „W d...“ Chłop ryczał ze śmiechu i szedł precz. Nikt tam nigdy złego słowa nie powiedział! Choć gdyby poszukać, to może nie tylko ten 6 m/m świder znalazłby się w narzędziowni...

— A kto tam był przed wami narzędziowym? — zainteresował się niter.

— Maj!

— Acha... — Nowakowi nie trzeba już było więcej wyjaśniać. Upewnił się tylko jeszcze: — A świdry, mówicie, były?

— Znalazłem je, jak objąłem po nim narzędziownię. Aż mi dziwno było, bo Maj przecie taki skrupulatny...

Ale Ignacy nie zdziwił się tą wiadomością. Umocniła ona tylko jego decyzję: poruszyć dziś na egzekutywie sprawę Maja.

Wczoraj u Szwedowskich po raz pierwszy może zrozumiał, że jego nieufność w stosunku do ludzi, z którymi pracował, jego nieumiejętność porozumiewania się z nimi wspólnym językiem była czymś więcej niż osobistym niepowodzeniem. Ona przecież sprawiła, że na Stoczni mógł działać jeden, drugi czy trzeci Maj, a Franek Chołczyk, Bruno Szwedowski, Albin Paczkowski — nie wiedzieli o tym... Nowak czuł się za to odpowiedzialny! Po co zajmował młodszym miejsce w Radzie Zakładowej? Dlaczego ufano mu w Partii, jeśli nie potrafił nikomu z towarzyszy przekazać swojej ciężko zdobytej wiedzy o życiu? Jaki sens miały frazesy o czujności, o socjalistycznym współżyciu, jeśli nie umiał sprawić, aby słuchający go na wykładach ideologicznych wynieśli te przestrogi poza duszną salkę, w której mówił... Były to słowa bez pokrycia! Zrozumiawszy to, przestał się dziwić, dlaczego tak nudził ludzi. Myśleli widocznie, że on, Nowak, miał przeszłość — piękną przeszłość — i że skończył się wraz z nią! Że na starość ostygł, zgorzkniał i stracił serce do ludzi... Że przeżył już swoje idee, a dziś miał je już tylko „na wynos“... Początkowo przychodzono jeszcze do niego z tym czy innym drobiazgiem: z kłopotem z powodu choroby dziecka, ze wstydem czy można prosić o zaliczkę, czy dadzą,

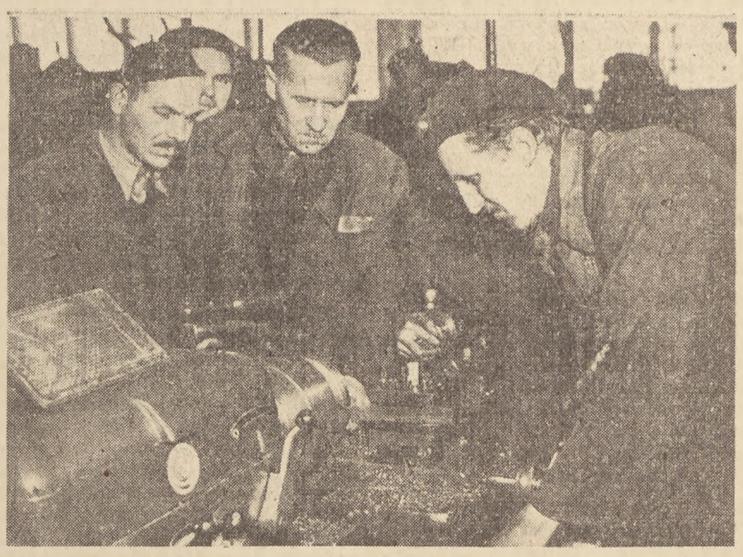

Ślusarnia w stoczni

z radością — bo urodził się drugi chłopak... Radził, pomagał — owszem nie można powiedzieć, ale tak jakoś na zimno, jakby bez serca... Powoli utarło się przekonanie, potem przyzwyczajenie: iść z tym do Nowaka? a dajże ty spokój! Nie zabieraj mu czasu! Dosyć chłop ma na głowie: wykłady, zebrania, co mu będziesz zawracać gitarę! Został więc Nowak sam. I tak doszło do tego, że „Kusipurtk“ na każdym kroku zwyciężał go...

— Najwyższy czas zrobić coś — pomyślał.

Zebranie zaczynało się już, weszli więc do domku. W pokoju o białych ścianach, przy stole pokrytym czerwienią, siedziało kilku ludzi. Rozmawiali głośno, jak zwykle przed zebraniem i częstowali się papierosami.

— Wwwięc mówię mu: taki, co ssam młotka do ręki nie wweźmie. — wkładał w uszy Chełczykowi, zacinając się, Trapczyk — a tylko pomstuje na ludzi i ppędzi ich ddo roboty, to wwłódarz nie majster! To nie sztuka ssamemu ccoś umieć! Sztuka nauczyć innych!

— Mój Bolek — zwierzał się sąsiadowi dźwigowy Walkusz — darł się od małego na morze. Chciałem, żeby robił na Stoczni, ale nie będę go przecie ciągnął siłą! Ma osiemnaście lat! Zmusztrował się i od 3 dni pływa...

Nowak przywitał się i usiadł. Wychwytując mimo woli fragmenty tych pogwarek, myślał, jak tu sformułować oskarżenie Maja? Psiakrew, łatwiej to postanowić niż wykonać! Przede wszystkim nie wszyscy przyszli na zebranie. Najgorsze, że nie było Łabędzkiego. To zmartwiło brygadzistę. Miał nadzieję, że hutnik poprze go. On przecież powiedział mu, że Maj maczał palce w wypadku w odlewni... We dwóch byłoby łatwiej, tym bardziej, że gwarny, wesoły nastrój zebrania nie sprzyjał temu, co miał powiedzieć Nowak... Jak tu nagle, ni stąd, ni zowąd rzucić w te pogodne, spokojne twarze swoją mozolnie ułożoną z półsłówek, plotek i poszlak prawdę o Maju? Tym Maju, którego tu wszyscy przeważnie lubią, o którym mówią koleżeński, uczynny, dowcipny, obowiązkowy...

Przypomniał sobie wszystko, co wiedział dobrego o magazynierze. Tak, maskować potrafił się nieźle! Wielu z obecnych zaręczyłoby z czystym sumieniem, że to porządny człowiek. Cóż mu zresztą można konkretnie zarzucić? Sprawa z tymi butlami? Z tego wyłga się łatwo! Różne wentyle przy butlach z tlenem i sprężonym powietrzem podrywały podejrzenie o świadomy sabotaż. Nikt też nie widział, żeby Maj podrzucał własnoręcznie młotek na dźwigu. Pozostawała odlewnia. Łabędzki zapewniał, że magazynier nieraz przychodził do nich z butelką w kieszeni — czasem popijał podobno ze starym Grzybieniem, a tego dnia kręcił się koło przygotowanych form. Mógł z łatwością wlać do którejś z nich wodę...

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył! Żeby mnie jasny szlag trafił! Sam odpowietrzałem formę! — zaklinał się podczas dochodzenia Grzybień, tłukąc kanciastymi pięściami w pierś.

— A więc musiał to być sabotaż! — mruknął wtedy inżynier. Nowak przyznawał mu rację. Bez przyczyny nie byłoby wybuchu! Ktoś umyślnie wlał wodę do formy. Kiedy zaczął wypełniać ją płynny metal — pękła. Poparzyło wtedy Świrszcza, a mogło być gorzej! Ładny kawał! „Stary kawał kowali“ — jak mówił Paweł. A przecież Maj był z zawodu — kowalem...

Po odczytaniu protokółu z poprzedniego zebrania, Nowak parę razy odchrząknął, przełknął ślinę i zamierzał poprosić o głos, ale nikt jakoś nie zauważył tych nieśmiałych prób zwrócenia na siebie uwagi. Na porządku dziennym była inna, pochłaniająca wszystkich sprawa: pierwszy koncert Stoczni! Nie żaden tam amatorski zespół świetlicowy, ale Filharmonia Bałtycka! Organizatorzy, ci, którzy wystąpili z inicjatywą, skupiali się w Radzie Zakładowej i egzekutywie. Należało ludziom pomóc: udekorować kadłubownię, bo tam miało się to wszystko odbyć, zaprosić solistów, porozumieć się z Filharmonią, zawiadomić załogę, wyznaczyć najodpowiedniejszy dzień i godzinę.

Pokój, w którym obradowano, zasnuły pyzate obłoczki tytoniowego dymu. Za oknami przesuwała się od czasu do czasu sapiąca lokomotywa, ciągnąć to dźwig, to wagonetki. Przenikliwy, żałosny dzwonek ostrzegał przechodzących i rozpraszał uwagę ludzi, zebranych w czerwonym domku. Omówiono już właściwie wszystko. Niektórzy zaczęli wyraźnie zbierać się do wyjścia, aby przyśpieszyć koniec, a Nowak ciągle nie mógł zdobyć się na wykrztuszenie prostego zdania: „Proszę o głos!“

— Proszę o głos! — zawołał ktoś Chełczyk, barczysty, rumiany, zarośnięty, z głową, jakby wyrastającą bezpośrednio z ramion, wstał i od razu śmiesznie zmalał w oczach patrzących. Gdy siedział, wyglądał jak postawny atleta: teraz przypominał karłowatego boksera.

— Więc uważałbym, że możemy już przejść do ostatniego punktu. Bo widzę, że niektórzy towarzysze to się już bardzo śpieszą! — odczekał, aż uciszy się wątły śmieszek, i ciągnął:

— Proponuję, żeby teraz rozpatrzeć podanie kol. Maja, który na ostatnim posiedzeniu organizacji zakładowej prosił o przyjęcie go do Partii! Wprowadzający są: ja i Paczkowski. Więc możemy to chyba dziś załatwić!

— Nie, nie możemy! — Nowaka aż coś poderwało. Krzyknął tak głośno, że poczuł zwrócone na siebie oczy wszystkich.

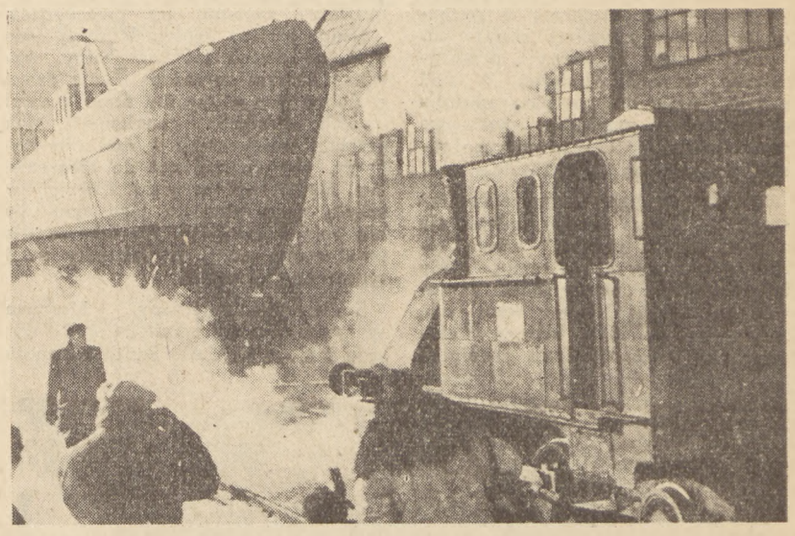

W stoczni: statek na pochylni.

— Proszę o głos! — poprawił się zaraz pod karcącym spojrzeniem przewodniczącego i Chełczyka. — Towarzysze! Długo się namyślałem, czy mam dziś tę sprawę poruszyć, ale widzę, że dłużej czekać nie można! Znacie mnie nie od dziś. Nie lubię mówić na wiatr, ale uważam za swój obowiązek ostrzec was...

W ciszy, która zdławiła wszelki ruch i śmiech, słyszał swój zachrypnięty głos i głuchy łomot swego serca. Nie patrzał na nikogo, wiedział jednak, że na twarzach zebranych rysuje się coraz wyraźniejsze zmieszanie, niedowierzanie i zaniepokojenie. Ciężkie, twarde słowa padały w tę ciszę jak w głąb bez dna. Już nie można było ich cofnąć! Ta świadomość dodała mu — rzecz dziwna — otuchy. Umacniała go w wierze, że postąpił słusznie. Byli wyraźnie zaskoczeni. Wydawało mu się, że w tej chwili spłaca swój dług wobec tych ludzi, których ktoś usiłował oszukać, rozbroić z czujności, aby potem napaść znienacka...

Milczenie zebranych zaczęło pękać, jak ruszające na wiosnę lody. Ktoś krzyknął z końca chłopięcym, łamiącym się głosem:

— Czemu mu się tak śpieszy z tym wstąpieniem? Nie może poczekać do Zjednoczenia?

— Powiedzcie, Nowak, jak to było z tym tlenem! — powiedział cicho przewodniczący. Słyszał o tej historii od Szwedowskiego i teraz podsuwał brygadziście argument, od którego należało zacząć. Ignacy w pośpiechu zapomniał o tym. Teraz wygarnął wszystko: o tlenie i młotku, znalezionym w wieńcach dźwigu, o propozycjach „łatwej roboty“ dla Alojza, o 6 m/m świdrach i uwagach Łabędzkiego o starym kawale kowali i kowalskiej przeszłości magazyniera. Szczerze, bez ogródek, przyznawał... że nie ma ostatecznego dowodu, że może krzywdzi Maja, ale dodał, że prędzej, czy później prawda jak oliwa musi wypłynąć na wierzch...

Niedowierzanie egzekutywy ustępowało zwolna oburzeniu. Trepczyk aż dłoń przyłożył do ucha, żeby nie uronić ani jednego słowa. Walkusz drgnął jak oparzony, kiedy uświadomił sobie, że do partii chciał się wkraść ktoś, kto być może podrzucił młotek na jego dźwigu. Paczkowski, słuchając o 6 m/m świdrach, poczuł, że ktoś zdziera mu brutalnie zasłonę z oczu i mruknął:

— Tak, to jasne jak fusy, a ja teraz dopiero rozumiem...

Chełczyk, ze wstydu, że tak dał się nabrać, wtulił jeszcze mocniej głowę w ramiona i zrobił się jeszcze czerwieńszy.

A Nowak brnął dalej, aż powiedział im wszystko: fakty i domysły, podejrzenia i wątpliwości. Ogarnęło go uczucie jakiejś podnieconej odwagi, jak wtedy, nad Manzanares, w momencie, poprzedzającym atak na bagnety...

— Mnie, rozumiecie towarzysze, nie chodzi o to, żeby wyrzucać Maja ze Stoczni, żeby robić mu bez konkretnych dowodów jakieś szykany... Ale to, co powiedziałem, starczy chyba, żeby wziąć go na oko, tak bez zwracania uwagi... To mój formalny wniosek!

Siadając, popatrzył na dyszące burzliwymi głosami, zadymione wnętrze i poczuł przeszywającą, mocną radość, że należy do nich, ze rozumieją go: Taka radość, jaką czuł dawno temu, gdy zrozumiał pierwsze swoje hiszpańskie słowa: „No pasaran!“

Wniosek Nowaka przyjęto przytłaczającą większością głosów.

Fenikowski Franciszek

*) Fragment z powieści pt. „Z pięciu gwizdków“, początek patrz „Wieś“ nr. 12.

S. KRZEMIEŃ

HISTORIA KSIĄŻKI O KLASIE ROBOTNICZEJ

Jerzy Pytlakowski

W r. 1946 wychodzą z druku dwie pierwsze książki J. Pytlakowskiego: **„Powstanie Mokotowskie“** (reportaż) oraz **„Wielki cień“** (opowiadania). Obie one i wydana dopiero w 1949 r. powieść **„Życie przed śmiercią“** (pamiętnik więźnia skazanego na śmierć) tematyką sięgają czasów okupacji.

W 1948 r. Pytlakowski wydaje **„Olimpijczyka“**, nowelę sportową, odznaczoną III nagrodą — najwyższą w dziale epiki — przez jury przedolimpijskiego Konkursu Literackiego. Do tematu z życia współczesnego sięgnie autor dopiero w **„Fundamentach“** *).

Wydana w 1948 roku książka ta jest pierwszą próbą powieści o współczesnej klasie robotniczej — pierwszą nie tylko w dorobku pisarskim Pytlakowskiego, ale w ogóle w powojennej prozie literackiej. Akcja toczy się w pierwszych miesiącach powstawania z gruzów olbrzymiej wrocławskiej fabryki wagonów „Pafawag“, od lipca 1945 do czerwca 1946 roku.

Niewątpliwie wybór tematu i umiejscowienie akcji były słuszne. W pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez proletariat trzeba było przede wszystkim uchwycić w ręce produkcję. Szczególnie opanowanie sytuacji na odcinku przemysłu ciężkiego stało się wtedy podstawowym politycznym zadaniem klasy robotniczej. Tu rozegrała się zasadnicza próba ogniowa sił proletariatu polskiego.

Walka rozpoczynała się w niezwykle trudnych warunkach, wobec niesłychanego ogromu powojennych zniszczeń, wobec zaciętej antyludowej postawy wrogów klasowych, nie cofających się przed wszelkimi formami walki podziemnej, wobec zrozumiałego tuż po wojnie zjawiska dezorientacji dużej części świeżych kadr. Wyprodukowanie w ciągu 11 miesięcy tysiąca węglarek, wymagało zmobilizowania wszystkich sił bohaterskiego proletariatu. Wyjść zwycięsko z tej próby mógł tylko świadomy, wyrobiony kolektyw robotniczy, kierowany przez awangardę klasy — ludzi Partii.

Artystyczne przetworzenie ogromu problemów i konfliktów tych lat, wymagało przede wszystkim rzetelnej i głębokiej marksistowskiej oceny historycznej okresu. Szczególnie wnikliwa powinna być analiza sytuacji ideologicznej klasy robotniczej. Poprzez zdecydowane zarysowanie podziału klasowego, poprzez ostrą konfrontację klasy robotniczej z polityczną i moralną nicością przedstawicieli reakcji, powinien autor uwypuklić te wszystkie wartości, jakie teraz po zdobyciu władzy mógł wnieść i wytworzyć proletariat i jakie wniosła i wytworzyła polska klasa robotnicza.

*

Recenzje pojawiły się natychmiast po ukazaniu się książki. Pisał W. Woroszylski (Odrodzenie 1948, nr 46), H. Michalski (Odrodzenie, 1948, nr. 48), L. Sobierajski („Czy tak o klasie robotniczej?“ Wieś, 1949 nr 7), pisali krytycy radzieccy w „Literaturze Radzieckiej“ (1949 r. nr 6). Głosy były na ogół bardzo krytyczne. Zarzucano autorowi, że nie dał trafnego obrazu klasy robotniczej, że nie odtworzył w słuszny sposób historii owego czasu. „Autor wbrew pozorom i własnej zapowiedzi nie zaryzykował uczynienia z historii **Pafawagu** osi fabularnej **Fundamentów (Woroszylski).** Pisano, że w książce, która miała mówić o socjalistycznym budownictwie, nastąpiło przesunięcie z pozycji realizmu, na pozycje psychologizmu. Zamiast mocnych, zdecydowanych, słusznie zarysowanych postaci bohaterów socjalistycznych, mamy ustawiczne grzebanie się we własnym wnętrzu, maniackie analizowanie abstrakcyjnych uczuć, motywowanie postępków człowieka przez różne odmiany niewyżytego erotyzmu: Boczar, Grabin, Kama, Jadwiga (Woroszylski). Tysiączna węglarka została wypuszczona, ale jak to się stało? **Kto** tego dokonał? **„Ktoś** aktywizował załogę, **ktoś** podciągał niefachowy element, **ktoś** uczył, nakłaniał i przekonywał, **ktoś** formował masę robotniczą.

Tego właściwego **bohatera** powieść nam **nie pokazuje,** autor go przed czytelnikiem nie odkrywa... Otrzymaliśmy wizję Pafawagu w wewnętrznym, psychologicznym obrazie osób, mechanizmu działania wielkiego zakładu przemysłowego nie poznaliśmy, nie poznaliśmy tych **historycznych sił** napędowych, które z gruzów uczyniły fabrykę produkującą sześćset węglarek na miesiąc, nie poznaliśmy jej budowniczego — świadomego robotnika partyjnego; czołowe postacie książki są lepione nie na proletariacką miarę. Więcej w nich mieszczańskiej tradycji literackiej, niż poznania i wiedzy o klasie robotniczej“ (Sobierajski). Fakt, że Pytlakowski nie umiał zająć odpowiedniej postawy poznawczej i wartościującej w stosunku do opisywanej rzeczywistości decyduje o tym, że należy przyznać rację Woroszylskiemu, kiedy mówi: „Pytlakowski podjął temat wielki i odpowiedzialny. I dlatego słowa krytyki są tu może ostrzejsze, niż gdyby temat był błahy. Pytlakowski jest pisarzem ambitnym. Jest pisarzem — i to najważniejsze — partyjnym. Powinien wyciągnąć konsekwencje z tego nieporozumienia za jakie uznać należy **Fundamenty“.**

*

Wobec wielkich zadań, jakie ma dziś przed sobą literatura, wobec ogromnego wzrostu autorytetu „słowa pisanego“ rosną również i obowiązki krytyki literackiej. Wymaga się od krytyka, żeby wiedział dużo: i o książkach i o życiu. A przede wszystkim wymaga się od niego uczciwego, sumiennego — socjalistycznego stosunku do ocenianych utworów. Uważa się — i słusznie — że tylko rzetelna, trafna, obiektywna, konsekwentna, naukowa krytyka, da odpowiednie rezultaty.

Prawda. Ale nie bądźmy jednostronni. Żeby krytyka literacka miała swój obiektywny sens, musi zaistnieć równie sumienny, socjalistyczny — stosunek pisarza do krytyki. I w tym właśnie sęk.

Parę dni temu wyszło II wydanie **„Fundamentów“** **). Na okładce wyraźnie: „przejrzane i poprawione“. W przedmowie czytamy: „Pisząc „Fundamenty“ na gorąco (...) nie zdołałem uniknąć błędów, które wpłynęły ujemnie na wartość książki. Na wiele spośród nich otworzyły mi oczy publikowane w języku rosyjskim w prasie radzieckiej, a także po polsku w miesięczniku „Literatura Radziecka“ omówienia radzieckich krytyków, oraz opinie niektórych polskich krytyków. Przygotowując tekst II wydania starałem się usunąć wady książki, na które zwrócili uwagę po przyjacielsku bardziej doświadczeni koledzy radzieccy i polscy“.

Miłośnik książki zawsze będzie zaciekawiony, po jakiej linii idą poprawki, dokonane przez autora pod wpływem głosów krytyki. W tym jednak wypadku czeka go rozczarowanie. Autor bowiem wybrał linię najmniejszego oporu. Po prostu całą pracę ograniczył do umieszczenia jednej, jedynej wstawki (o niej potem) i kilkudziesięciu drobnych skreśleń. Skreślenia te idą w dwu kierunkach: albo jest to usuwanie zbyt rażących przerostów psychologizmu, zamiłowania do analizy histerycznych „kompleksów“ postaci powieściowych, albo są to niewielkie uproszczenia akcji lub poprawki stylistyczne. I to wszystko! Ideologiczna koncepcja akcji i charakterów pozostaje w dalszym ciągu ta sama. Autor nie dokonał żadnej poważniejszej — żadnej w ogóle przebudowy koncepcji książki, która by zdeaktualizowała zarzuty, stawiane jej I-mu wydaniu.

Na końcowych kartach I-go wydania autor, jak gdyby w podsumowaniu daje krótkie charakterystyki bohaterów. I tak oto wyglądają wg. tej dokonanej przez samego autora oceny, postacie książki:

Boczar, robotnik, w trakcie pracy obejmujący stanowisko dyrektora — o którym wiemy, że jest w Partii, to człowiek, który zupełnie nie rozumie sensu swego czasu. Oblicze życia zmienia się. On to widzi. A przyczyny? „Czy to była siła, czy co innego, nie wiem. Wiem, materialny obraz świata zmienił się, ale my, ludzie, nie nadążaliśmy za tymi zmianami... Ja gubiłem się już tyle razy...“

Grabisz, inżynier, który w akcji powieści gra rolę bodaj najbardziej pozytywnego bohatera, jest człowiekiem, który dużo robi, ale bez świadomości celu, do którego dąży. „Stale bardzo szybko szedłem naprzód. Byłem wiecznym wyścigowcem, chociaż znajomość trasy mojego biegu, a także jego mety, nie dochodziły do mojej świadomości (...) życie stało się dla mnie zagadką“.

Woliński — inżynier, jeden z ludzi kierujących fabryką. Partyjny. Jest określony jako człowiek ambitny, bezwzględny, nie liczący się z niczym i nikim w dążeniu do celu.

Kama — córka zmarłego dyrektora Ożarskiego, to wykolejona ofiara losu „zdająca sobie sprawę ze swej tragedii i miotająca się, szukająca...“ Ma stały sentyment do przeszłości. Ciągle walczy, szarpie się z samą sobą, cierpi...

Itd. cała galeria histeryków, ani jednego sensownego człowieka.

Te charakterystyki w II wydaniu znikły. Ale same postacie istnieją w dalszym ciągu — tak jak zostały pierwotnie pomyślane. Bez żadnych zmian. Zerwano tylko etykiety. Zupełnie jakby ktoś korektę artykułu ograniczył do skreślenia tytułu.

Koncepcja książki pozostała w całości ta sama. Wobec tego i zarzuty pozostają w dalszym ciągu w całości te same. Mimo poprawek, książka nadal **nie mówi prawdy o klasie robotniczej.** Ludzie, których autor czyni bohaterami książki, nie są związani z proletariatem, są to ludzie klasie robotniczej zupełnie obcy. Problem walki klasowej został błędnie przesunięty na płaszczyznę psychologiczną. Dlatego obiektywny sens przemian 45-go roku, których siłą napędową była klasa robotnicza, była Partia—został w książce wypaczony.

*

„Czy rozumiecie co to jest Partia? Nasza Partia to nie czcze słowo. Siła Partii jest i była siłą ogółu robotników. Siła ta najdobitniej uwypukliła się w czasie zmagań z najeźdźcą hitlerowskim (...) Gdy hitleryzm został rozbity, komuniści przystąpili do najtrudniejszych zadań odbudowy, znów, jak zawsze, w pierwszym szeregu. To Partia i jej ludzie przystąpili do odbudowy i kierowali nią. Bo to są nasze rządy i nasza odbudowa: ludzi pracy, robotników, chłopów. Wrocław, wstający z gruzów, fabryka, ci ludzie, co w niej po nowemu pracują, — to Partia“.

Jest to fragment z jedynej wstawki, jakiej autor dokonał w II wydaniu: z rozbudowanego przemówienia Grabisza na zebraniu robotniczym. Ale co my poza tym wiemy o Partii? Tylko tyle, że w pewnym momencie Partia za sprawą Wolińskiego przyjmuje do swych szeregów Goździkiewicza. A Goździkiewicz — to spekulant i sabotażysta, współdziałający z podziemiem. Partia ma być dla niego parawanem.

Poza tym o Partii w książce głucho. Historycznej roli, jaką właśnie w tym okresie spełniła Partia, autor w swej książce nie pokazał.

*

A... „nie wolno się nam zadawalać dotychczasowymi osiągnięciami — mówił prezydent Bierut na VI Plenum. — Jest naszym gorącym pragnieniem aby powstały u nas dzieła, godne naszej wielkiej epoki, godne naszego narodu.

Nie szczędźmy więc krytyki, zachęcajmy do śmiałych poszukiwań twórczych w naszym przebogatym, pulsującym, nowym życiu“.

Sławomir Krzemień

*) J. Pytlakowski: „Fundamenty“, „Prasa Wojskowa“ 1948 r.

**) Pytlakowski „Fundamenty“ II, wyd. „Prasa Wojskowa“, 1950 r.

Tadeusz Orlewicz

Rośnie dobrobyt ludzi radzieckich

W grudniu 1947 r. w wyniku sukcesów gospodarki narodowej w Związku Radzieckim zniesiony zostaje powojenny system kartkowy i przeprowadzona reforma pieniężna. W ślad za tym następuje **pierwsza obniżka cen** na szereg artykułów masowego zapotrzebowania. Siła nabywcza ludności podnosi się dwukrotnie.

W latach, w których kraje kapitalistyczne coraz ostrzej odczuwają na swej skórze „pomoc" amerykańskich opiekunów zza Oceanu, kiedy plan Marshalla obezwładnia całkowicie gospodarkę krajów wasalnych, kiedy zwyżkuje stale barometr głodowy jako wskaźnik życia robotnika

i chłopa w krajach kapitału — w Związku Radzieckim następuje rok za rokiem: **druga, trzecia i czwarta obniżka cen.** W sumie obniżki te dają ludziom radzieckim 500 miliardów rubli oszczędności. Te 500 miliardów to przeszło dwa razy tyle co roczny dochód narodowy Kraju Rad.

Obniżki te oznaczają, że ludzie radzieccy znacznie więcej niż dotychczas mogą kupować towarów za swoje zarobki. Socjalistyczna zasada wynagradzania za pracę według jej ilości i jakości, otwiera dla każdego człowieka radzieckiego nieograniczone możliwości podniesienia swego dobrobytu. Obok obniżki cen rosną płace robotników i dochody kołchoźników w wyniku rozwoju wydajności pracy i wspaniałej mechanizacji wszystkich niemal procesów produkcyjnych. W roku 1949 dochody ludności miejskiej w przeliczeniu na jednego zatrudnionego wzrosły o 12% w stosunku do roku 1948 i o 24% w stosunku do roku 1940. Dochody kołchoźników przewyższyły o przeszło 30% poziom przedwojennego roku 1940. Obniżka cen w roku 1950 przyniosła wzrost siły nabywczej ludności radzieckiej o dalsze 20%. W wyniku ostatniej obnizki cen, ludzie radzieccy za niektóre artykuły jak za mięso, chleb, wyroby mączne, tłuszcze, papierosy płacić będą zaledwie połowę ceny z roku 1947.

A przecież obniżki cen w Kraju Rad obejmują szeroki wachlarz artykułów. To nie tylko artykuły spożywcze uległy obniżce, ale i artykuły inwestycyjne, artykuły gospodarstwa domowego, takie wreszcie artykuły jak meble, odbiorniki radiowe, rowery, motocykle, zegarki.

O 20 i o 30% artykułów sprzedaje się obecnie w Związku Radzieckim więcej niż w latach poprzednich. Znacznie wyżej wzrosła sprzedaż artykułów przemysłowych niż spożywczych. To już nie tylko zmiany ilościowe, ale wyraźne sygnały zmian jakościowych w poziomie życia ludzi radzieckich.

* * *

Hutnik, Mikołaj Czesnakow zarabiał w roku 1949 miesięcznie 3.000 rubli. Rodzina jego składa się z 4 osób. Na mieszkanie wraz ze wszystkimi dodatkowymi opłatami wydaje zaledwie 2 — 2,5% zarobku. A jego towarzysz w Stanach Zjednoczonych, William Smith, płaci za nędzny kąt w mieszkaniu, urągającym najbardziej prymitywnym wymogom higieny, 40% swego zarobku.

Czesnakow i jego rodzina ma codziennie mięso, kiełbasę lub świeżą rybę. Kosztują przecież te artykuły dwa razy taniej niż w roku 1947. Smith w roku 1947 żył jeszcze kosztem przeszłości, miał pewne oszczędności. Mógł sobie pozwolić na to, aby dwojgu swoim dzieciom i żonie kupić dwa razy na tydzień mięso. W roku 1950 Smith wprawdzie należy do tych szczęśliwych, którzy mają pracę, ale już nie stać go ani na mięso, ani na tłuszcze.

Dawniej Czesnakow za zapas kartofli na zimę płacił około 2.000 rubli. Dziś cztery worki ziemniaków kupił za 200 rubli. W USA ziemniaki niszczy się traktorami na polach lub oblewa się trującymi substancjami i dlatego William Smith musi dwa razy drożej zapłacić za ziemniaki niż w roku 1947.

Rodzina Czesnakowa jest porządnie ubrana. Sam Czesnakow kupił sobie w ubiegłym roku dwa ubrania i płaszcz. Mieszkanie jego jest ładnie umeblowane. A Smith kupił sobie ostatnio ubranie trzy lata temu i dziś nie może zdobyć się na kupno palta dla córki, bo na życie nie starczy. Kupił sobie radioaparat i trochę mebli. Ale kupił na raty. Spłacał parę rat, ale syn zachorował, trzeba było zapłacić lekarza. Radioaparat i meble zabrali, raty przepadły. Zarobił jeszcze raz dodatkowo spekulant. Czesnakow kupuje książki, jest częstym bywalcem w kinie i teatrze. Smith czyta gazetę wtedy, gdy na bulwarze zapomni jej przechodzeń.

Smith zaciska pięści. Wczoraj jego brat, od dwóch lat bezrobotny, wywiesił kartkę: sprzedam swoje dzieci w dobre ręce. Kilka dni temu widział swoich dobrych znajomych, jak grzebali w śmietniku w dzielnicy bogaczy, aby znaleźć coś do zjedzenia. Ale Smith był wczoraj również w szkole, skąd usunięto jego syna, bo nie opłacił czesnego. Na lekarza dla poratowania córki wydał cały swój tygodniowy zarobek.

Smith jest zmęczony. Maszyna wyzysku kapitalistycznego od lat wysysa z niego siły. Ale Smith nie może zdobyć się na urlop. Czesnakow spędził swój urlop w pięknym domu wypoczynkowym. Koszt skierowania wynosił około 800 rubli, a on zapłacił za nie tylko 200 rubli. Olga, jego córka, uczy się w szkole. Nauka w szkole radzieckiej jest bezpłatna. Bezpłatna też jest pomoc lekarska dla całej rodziny.

Członek kołchozu w Azerbejdżanie, Mamedow wraz ze swoją rodziną otrzymał za wyrobione w roku 1950 dniówki obrachunkowe — 120 tysięcy rubli gotówką, ponad 20 ton zboża, 12 tysięcy litrów wina. W innym kołchozie rodziny Kostiszenki, Szakajewa i innych otrzymały po 12,8 ton zboża, dużo ton jarzyn i wysokie sumy w gotówce.

W dalekiej Ameryce John Clark, średniorolny farmer, podliczył swój dochód i doszedł do wniosku, że wystarczy mu zaledwie na pół roku. Opętała jego i jemu podobnych sieć pośredników monopolistycznych. Pobliski obszarnik produkuje znacznie taniej, bo ma maszyny i traktory. John czuje, że nie wydoła.

We Francji Louis Brillant, drobny dzierżawca, ugina się pod ciężarem podatków i czynszów dzierżawnych. Niedawno został wyrzucony z ziemi, a jego cały majątek zlicytowano dla zaspokojenia pretensji właściciela ziemi. Małorolny Felis Drouet nie może znaleźć nabywców na swoje zboże, bo rynek zasypany jest produktami amerykańskimi. Drouet wegetuje podobnie jak jego sąsiad, Gaston Lilien średniorolny chłop. Robotnicy rolni w winnicach strajkują, bo walczyć muszą o chleb, o życie dla swoich rodzin.

* * *

W Stanach Zjednoczonych 76% budżetu przeznacza się na montowanie nowej zawieruchy wojennej. Wydatki na zbrojenia nieustannie rosną. Ale na oświatę i ochronę zdrowia przeznacza się zaledwie 2% budżetu. I te skromne 2% zostanie w wykonaniu mocno okrojone na rzecz wydatków zbrojeniowych. 8 milionów rodzin amerykańskich jest bez mieszkań, gruźlica i inne choroby toczą masy robotnicze i chłopskie. Zamiast szkół i wyższych uczelni buduje się czołgi i samoloty, zamiast lekarzy i szpitali — fabryki bomb atomowych.

W Wielkiej Brytanii redukuje się racje żywnościowe i dotacje państwowe na ten cel przeznaczone, ale za to na rozkaz Eisenhovera kilkunastokrotnie wzrastają wydatki na zbrojenia. 1 trylion franków — to dar francuskich lokajów dla molocha imperialistycznej agresji. Jeden dzień brudnej wojny w Vietnamie kosztuje więcej niż wybudowanie 20 nowoczesnych szkół. Rośnie bezrobocie, rośnie nędza mas pracujących. Na oświatę, na ochronę zdrowia, na budownictwo mieszkaniowe nie ma pieniędzy w budżetach podpalaczy świata.

„Półtora roku spędziłem w dżunglach Burmy, ale mam wrażenie, że mieszkałem tam w lepszych warunkach, niż u siebie w domu" — mówi Clark jeden z mieszkańców ruder w angielskim mieście przemysłowym Liverpool. W szkockim mieście Aberdeen mieszka pod gołym niebem 18 tysięcy rodzin. Komunikat w gazecie „Evening Standard": „Brak łóżek w szpitalach wielkiego Londynu staje się skandaliczny, a jednocześnie tragiczny dla mieszkańców. Brakuje łóżek, brakuje lekarzy, brakuje pielęgniarek. I, widocznie, bardzo mało szans jest na to, że warunki mogą ulec poprawie w najbliższym czasie, jeśli się uwzględni zadania, jakie stawia program zbrojeniowy".

48 milionów bezrobotnych w krajach kapitalistycznych, nieustanny wzrost cen i kosztów utrzymania, pogłębiająca się nędza mas pracujących, 70% ludności w krajach zależnych i kolonialnych w obliczu głodowej wegetacji, wielokrotny jednocześnie wzrost dochodów koncernów i nielicznych rekinów kapitalistycznych — oto rezultaty podziału dochodu narodowego w krajach rządzonych wyzyskiem.

* * *

W Kraju Rad cały dochód narodowy służy ludowi. Im bogatsza staje się radziecka ojczyzna, tym bardziej wzrasta stopa życiowa każdego człowieka radzieckiego. Przemysł zwiększył swoją produkcję o 73% w porównaniu z rokiem 1940. Przekroczony został poważnie przedwojenny poziom globalnej produkcji rolniczej, powstaje tysiące nowych fabryk i zakładów przemysłowych. Wspaniałe maszyny, stają w służbie budowli epoki komunizmu. Potężne buldożery, które w ciągu godziny oczyszczają i wyrównują wielohektarową powierzchnię. Każda z takich maszyn zastępuje pracę 300 ludzi, bo wydajność nowego ekskawatora wynosi w ciągu doby 20.000 m sześc. gruntu, a więc tyle, ile załadować można na 40 pociągów towarowych. Zautomatyzowane fabryki betonu, w których wyeliminowana została całkowicie praca fizyczna.

Zmiany ilościowe przechodzą w zmiany jakościowe w całej gospodarce Kraju Rad. Na bazie upowszechnienia na skalę masową najbardziej przodującej, wysoko wydajnej techniki stopniowo zacierają się różnice pomiędzy pracą umysłową a fizyczną.

Przejście od kapitalizmu do socjalizmu — to rewolucyjny skok z jednej formacji społeczno-ekonomicznej do drugiej formacji. Przejście od socjalizmu do komunizmu — to stopniowy rozwój jednej i tej samej formacji społeczno - ekonomicznej. To przejście charakteryzuje się ciągle wzrastającym tempem rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Na naszych oczach rosną giganty stalinowskiego planu przeobrażenia przyrody. Rośnie tempo rozwoju sił wytwórczych. Powstaje nowa baza materialno - techniczna, baza społeczeństwa komunistycznego.

Cztery kolejne **obniżki cen** — to również znak zachodzących przemian, które w konsekwencji prowadzą do zastąpienia zasady: każdemu według ilości i jakości pracy — zasadą: każdemu według jego potrzeb. **Cztery obniżki cen**—to przykład, w jaki sposób następuje podział nieustannie rosnącego dochodu narodowego w kraju zwycięskiego socjalizmu. Tam,

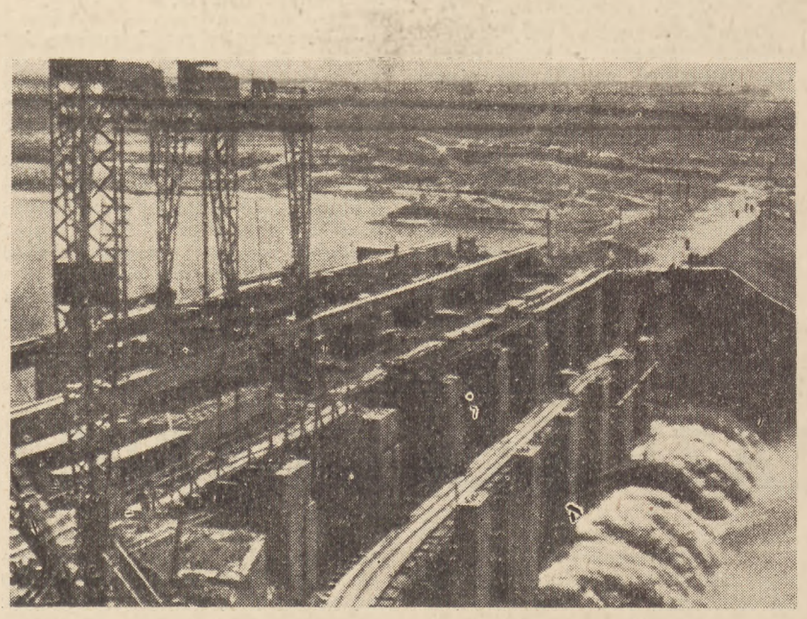

w krajach ginącego świata, w tym samym czasie rozwija się tylko jeden odcinek: orgia wyzysku i zysków podpalaczy świata.

Na początku lutego br. ceny artykułów spożywczych były w USA o 24,3% wyższe niż w styczniu 1949 roku. Tylko w trzecim kwartale 1950 r. zyski amerykańskich fabrykantów śmierci wzrosły w porównaniu z tym samym okresem roku poprzedniego o 50%. W tym samym czasie dochody przeszło połowy rodzin amerykańskich są o 25 — 30% niższe od najniższego minimum egzystencji.

W okresie rządów labourzystów w Wielkiej Brytanii, ogólny wskaźnik cen wzrósł prawie w dwójnasób. Ponad 40 artykułów masowego zapotrzebowania objęto wysoką zwyżką. W tym samym czasie zyski monopoli angielskich wzrosły w roku 1950 mniej więcej o 20% w porównaniu z rokiem 1949, w którym — warto wyjaśnić — były one trzy razy większe od zysków przedwojennych. Nie ma tu miejsca na troskę o dobro człowieka pracy, na troskę o lud, o naród, o niepodległość narodową.

A w Związku Radzieckim — rozwija się i trwa szybkie i nieustanne podnoszenie materialnego, kulturalnego i zdrowotnego poziomu narodu. 525 miliardów rubli — oto kwota wydatków Kraju Rad na cele socjalno-kulturalne w ciągu ostatnich pięciu lat. 26,8% budżetu państwowego na rok 1951 — to wydatki na stale rozrastający się program ruchu oświatowego, ochrony zdrowia, opieki społecznej i ubezpieczeń społecznych. Tylko w ciągu 1949 roku ludność otrzymała tytułem różnych świadczeń i zasiłków (wczasy, ubezpieczenia, stypendia itp) kwotę trzy razy większą od sumy asygnowanej przez państwa radzieckie na te same cele w roku 1940. Tak się dzieli dochód narodowy w socjalizmie.

Na Ukrainie, w stolicy zagłębia donieckiego, w roku ubiegłym budowano 900 nowych gmachów. Odbudowano w mastach republiki — 21 milionów m. kwadratowych powierzchni mieszkalnej, w kołchozach — 885 tysięcy domów. Republika liczy 157 wyższych zakładów naukowych. 7 milionów uczniów uczęszcza do tysięcy szkół.

Na terytorium Rosyjskiej Republiki Związkowej w roku 1914 było 71 wyższych uczelni, a obecnie liczba ich przekracza 500. W republice tej na finansowanie gospodarki narodowej i na wydatki społeczno-kulturalne, preliminuje się 90% wszystkich wydatków budżetowych.

W Kazachstanie, przed pierwszą wojną światową zaledwie 1,5% ludności umiało czytać i pisać. Dziś Kazachstan nie ma analfabetów. Dziś kraj ten ma 23 wyższe i 108 średnich technicznych zakładów naukowych, tysiące szkół podstawowych. Ogólny nakład książek w języku kazachskim — 80 milionów egzemplarzy i 10 tysięcy tytułów. (Polska 1950 — 5200 tytułów i 116 milionów egzemplarzy).

W Uzbekistanie ukazuje się obecnie 116 gazet. W okresie od 1928 do 1949 roku przeszło 80 tysięcy Uzbekistańczyków otrzymało wyższe wykształcenie.

W Gruzji władza radziecka wybudowała wiele wspaniałych sanatoriów i domów wypoczynkowych. **W Tadżykistanie** liczba lekarzy wzrosła w porównaniu z okresem przedrewolucyjnym przeszło 78-krotnie. Dzięki ustrojowi radzieckiemu naród tadżycki ma już poważne kadry swojej narodowej inteligencji. Na **Litwie** w okresie władzy radzieckiej, powstało w republice przeszło 3 500 szkół i 11 wyższych zakładów naukowych.

Oto jak w Kraju Rad, w ojczyźnie wolnych narodów socjalistycznych wygląda wtórny podział dochodu narodowego. W Azerbejdżanie, w Turkmenii, w Tadżykistanie, w azjatyckich republikach ZSRR, niegdyś stojących na prymitywnym stopniu rozwoju, kwitnie dziś dobrobyt i potęga gospodarcza ludu.

A o miedzę graniczą w krajach kolonialnych... „Mieszkańcy kolonii do samej śmierci pozostają młodymi. Jak mogą być u nas starcy, jeżeli przeciętny wiek Hindusa wynosi 22 lata. Rodzimy się i żyjemy w pętach śmierci. Znamy tylko ciężką pracę, poniżenie i głód". Tak mówił przedstawiciel Pakistanu na konferencji młodzieży Azji Południowo-Wschodniej. Według doniesień prasowych obecnie w Indiach wskutek głodu i chorób umierają dziennie dziesiątki tysięcy ludz. Do szczęśliwych dni zalicza robotnik indonezyjski dzień, w którym może zjeść miskę ryżu z kawałkiem suszonej ryby. Do szczęśliwych godzin zalicza Koreańczyk godzinę, w której amerykańska „kultura" nie daje mu znać o sobie terrorem, gwałtami, mordami, bombardowaniem.

Te bogate kraje o ludności, doprowadzonej do nizin nędzy, zrzucają i będą zrzucać z siebie nienawistne jarzmo imperializmu, jak Chiny, jak Vietnam, jak Korea, aby żyć jak radziecki Azerbejdżan, jak radziecki Uzbekistan, jak ludzie wielkiej ojczyzny wolnych narodów.

* * *

Im bogatszy, im potężniejszy staje się Kraj Rad, tym potężniejsze są siły pokoju i postępu. Za ludźmi radzieckimi stoją wyniki wielkich pięciolatek stalinowskich. One dają wolnym narodom radzieckim podstawy do stopniowego dochoddzenia do komunizmu. One dają perspektywę dalszej pracy i walki krajom demokracji ludowej, budującym zręby socjalizmu, perspektywę dostatku, nieograniczonych możliwości rozwoju kultury i dobrobytu. One niosą otuchę, wzmagają siły, rozniecają płomień walki całego proletariatu świata o wolność od imperializmu, o pokój.

W kraju Wielkiego Stalina — powstaje komunizm. W krajach demokracji ludowej — rosną zręby socjalizmu. W świecie kapitalistycznym imperializm szarpie się w zastawionych przez siebie sieciach. Nie do niego należy przyszłość. Przyszłość należy do ludu pracującego miast i wsi, który zbuduje na świecie cały wolny świat, który walczy na świecie całym o ustrój, pokój, dobrobyt i kulturę dla wszystkich narodów.

Tadeusz Orlewicz

Henryk Bereza

„Ameryka nieoficjalna"

Dobrze się dzieję, że polskie wydawnictwa interesują się popularnymi, dobrze napisanymi pozycjami, które w należyty sposób oświetlają problem amerykański i zadają kłam wyświechtanym hasłom amerykańskiej propagandy, pragnącej w powodzi pięknych słów zamaskować właściwe oblicze zaoceanicznego imperializmu. Z ostatnio wydanych pozycji na szczególną uwagę zasługuje zbiór doskonałych reportaży radzieckiego publicysty Wasiljewa, który w latach 1944 — 47 przebywał w Stanach Zjednoczonych i poznał doskonale „amerykański raj na ziemi". Książka Wasiljewa nosi nieco dziwny tytuł „Ameryka od strony schodów kuchennych" *). Autor przedstawia bowiem „Amerykę nieoficjalną", Amerykę, o której nie mówią amerykańskie rozgłośnie radiowe, nie piszą monopolistyczne dzienniki, której nie popularyzują hollywoodzkie firmy.

Książka Wasiljewa to zbiór spostrzeżeń inteligentnego obserwatora, który ma oczy i uszy otwarte, a widzi i słyszy nie tylko to, co gospodarz pokazuje przy biesiadnym stole i o czym opowiada dla zabawienia gości. W powściągliwej w tonie książce chodzi autorowi po prostu o uchwycenie prawdy o Ameryce. Dlatego autor widzi nie tylko Empire State Building, najwyższy w Nowym Jorku drapacz chmur, ale dostrzega także z wyżyn tego drapacza tysiące nowojorskich „slumpsów", ohydnych, kilkupiętrowych kamienic, w których w najprymitywniejszych warunkach mieszkają amerykańscy ludzie pracy, i bezstronnie stwierdza, że jednak „slumpsy" są liczniejsze, że one także nadają swoisty charakter właściwej stolicy Stanów.

Mimo woli nasuwają się na myśl amerykańskie dane statystyczne. W 1926 roku 87 proc. ogółu społeczeństwa amerykańskiego było w posiadaniu tylko 8 proc. majątku narodowego, zaś 59 proc. tego majątku należało do największych potentatów USA, stanowiących zaledwie 1/100 część społeczeństwa amerykańskiego. Amerykanin Lundberg w swojej książce „Americas 60 Families", wydanej w Nowym Jorku w 1946 roku, dowodzi, że Ameryką włada 60 najbogatszych rodzin kraju; skromniejszą rolę odgrywa 90 rodzin milionerów i 350 rodzin satelitów. „Te rodziny — stwierdza autor — są życiodajnym centrum współczesnej oligarchii przemysłowej, panującej i działającej w Stanach Zjednoczonych tajnie pod płaszczykiem demokratycznej de jure formy rządów, za którą się kryje absolutystyczny i plutokratyczny w swej treści rząd de facto. Rząd de facto jest w rzeczywistości pełnoprawnym rządem Stanów Zjednoczonych — aczkolwiek jest nieoficjalny, niewidoczny i kryje się w cieniu. Ten rząd — to rząd pieniędzy i dolarowej demokracji". „Większość ludności St. Zjedn. — pisze Lunberg — chociaż brzmi to jak paradoks, jest biedna i większość poza skromnym umeblowaniem i ubraniem na codzień, nie posiada nic ponad to".

Życia mieszkańców „slumpsów" mogą zazdrościć ci, którzy nie mają mieszkań w ogóle. W chicagowskim ogrodzie spotkał Wasiljew weterana z drugiej wojny światowej, który zmuszony był zamieszkać w namiocie z płacht, gdyż nie mógł znaleźć pracy, a koszty mieszkań w Ameryce pochłaniają często połowę budżetu pracujących. „Każdy kamienicznik w pogoni za bardziej dochodowymi lokatorami może wyrzucić ich na bruk".

Życie białych jest rajem w porównaniu z życiem ludności kolorowej w murzyńskich gettach i nielicznych rezerwatach dla czerwonoskórych Indian. Amerykańska propaganda zapomina, że w dwudziestym wieku, w kilka lat po zwycięstwie nad faszyzmem, w Ameryce stnieją kina, szkoły i teatry „tylko dla białych", że policja państwowa ma prawo aresztować" ludzi, żyjących w przyjaźni z Murzynami, że w Ameryce możliwe są takie fakty, jak opuszczenie pociągu przez białych na skutek obecności w nim czarnego człowieka. Ci sami mocodawcy, którzy popierają najhaniebniejszą dyskryminację rasową, którzy pozwalają na działalność faszystowskich bojówek, którzy wsadzają do więzienia wszystkich, mających odwagę oponować przeciwko reakcyjnej polityce Stanów, nawołują do krucjaty przeciwko Związkowi Radzieckiemu rzekomo w obronie zagrożonej kultury amerykańskiej. Mówienie „z łezką w oku" o amerykańskiej kulturze ma posmak niemal groteski. Jeśli się dokonuje oceny tej kultury z pozycji socjalizmu, jeśli się uwzględni, jak wielkie możliwości otwierają się przed kulturą społeczeństw socjalistycznych, kultura amerykańska nabiera cech patologicznych, staje się rozpaczliwie płytka, całkowicie ahumanistyczna. Nie wiadomo właściwie, co imperialiści uważają za kulturę. Samochody, dostępne dla niewielu zresztą, drapacze chmur, krzykliwe neony i reklamy z jednej strony, upadek sztuki, ciemnota, plugawy rasizm z drugiej strony. I to ma być owa amerykańska kultura, której imperialiści chcą bronić, choć jej nikt burzyć nie myśli? Książka Wasiljewa roi się od bystrych spostrzeżeń, dowcipnych paralel, głębokich interpretacji.

W Ameryce sztuka jak zresztą wszystko służy businessowi. „Business radiowy jest w Ameryce monopolizowany przez cztery wielkie syndykaty, które skoncentrowały w swych rękach ponad 900 stacji. Olbrzymia większość audycji radiowych jest zakupiona przez przedsiębiorstwa radiowe dla celów niczym nie skrępowanej reklamy". Tzw. „opery mydlane" i „radiocomics" stanowią trzon audycji amerykańskiego radia. „Mistyka, psychopatologia, ordynarne prymitywne instynkty, deprawacja seksualna, oszustwo społeczne, usprawiedliwienie militaryzmu i imperializm — oto zasadnicza treść amerykańskich filmów".

Oddziaływanie takiej sztuki jest nietrudne do przewidzenia. Jeżeli sztuka nie służy dobrej sprawie, musi służyć złej. W Ameryce „prasa, kino i radio wychowują chłopaka z początku na ulicznego łobuza, potem na drobnego uszusta i wreszcie na wytrawnego bandytę".

Sztuka, którą rządzi business, nie jest właściwie sztuką. Czyż potrzeba mnożyć przykłady, wykazujące zwyrodnienie amerykańskiej sztuki, zaspakajającej najniższe instynkty ludzi? Nowatorskie „latrinofony", instrumenty muzyczne zrobione z miski klozetowej, walce straussowskie wykonane za pomocą czkawki, „Majonezy z Chopina" byłyby śmieszne, gdyby nie były tak przerażająco kompromitujące.

Władcom Ameryki nie zależy na oświacie własnego narodu. Ciemnota, zabobony, mistycyzm tzw. „przeciętnego Amerykanina" rażą Wasiljewa, przedstawiciela narodu, którego wychowanie jest oparte na naukowym światopoglądzie. I znów dane statystyczne mają swoją wymowę. W Nowym Jorku jest 2800 kościołów, ale tylko 855 szkół . Na amerykańskich uniwersytetach wykładają taktykę masowego zniszczenia, metodologię ludobójstwa. Amerykanie mają zresztą krótką, ale doskonałą zaprawę W amerykańskich muzeach historycznych można się dowiedzieć, że pierwsi koloniści „byli uzbrojeni nie tyle w muszkiety, co w krzyże, którymi błogosławili pokornych i pragnących nawrócenia się na wiarę chrześcijańską Indian". Widocznie krzyż zbyt ciężkim brzemieniem spadał na barki poczciwych Indian, skoro tylko nieliczne resztki czerwonoskórych szczepów żyją na amerykańskim lądzie.

„Ameryka od strony schodów kuchennych" jest skarbnicą niezliczonych typowych ciekawostek z życia i obyczajowości Amerykanów. Wasiljewa wszystko interesuje; słucha więc kazań katolickich księży, uczestniczy w misteriach sekt, ogląda nowojorskie Lourdes, spreparowane dla businessu, bawi w Miami, uzdrowisku dla miliarderów na Florydzie, rozmawia z robotnikami i postępowymi intelektualistami, którzy zdają sobie doskonale sprawę z tego, co się w Ameryce dzieje.

Niezwykle przenikliwie scharakteryzował Amerykę Lenin, gdy w referacie „O Państwie" w 1914 roku powiedział, że „nigdzie władza kapitału, władza garstki miliarderów nad całym społeczeństwem nie przejawia się tak brutalnie, w takich niezamaskowanych formach przekupstwa, jak w Ameryce". „Staromodny symbol demokracji amerykańskiej — uogólnia Wasiljew swoje spostrzeżenia — w żadnym stopniu nie odzwierciedla właściwej treści życia politycznego i kulturalnego Stanów Zjednoczonych. Wszystko to nie jest niczym więcej jak teatralnym rekwizytem, obliczonym na to, aby wywołać niewymyślny efekt sceniczny i w ten sposób ukryć prawdziwą istotę tak zwanego „amerykańskiego stylu życia".

Odpowiedzą amerykańskiej propagandy na konsekwentnie pokojową politykę Związku Radzieckiego, na wysiłki światowego ruchu obrońców pokoju, na pragnienia mas proletariackich Ameryki jest frazes, że Ameryka przygotowuje się do wojny tylko dlatego, aby zabezpieczyć pokój. Książka Wasiljewa i pod tym względem pełni funkcję demaskatorską. Już w 1944 roku wróble na amerykańskich dachach ćwierkały, że na gwałt przygotowywane bazy wojskowe na Alasce miały służyć w wojnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Przecież amerykańscy mężowie stanu nie kryli się wcale ze swymi projektami nowej wojny. Dzisiejszy prezydent Truman wypowiedział w 1941 roku swoje credo polityki międzynarodowej: „Jeśli zobaczymy, że Niemcy wygrywają, to powinniśmy pomagać Rosji, ale gdy Rosja zacznie wygrywać, powinniśmy pomóc Niemcom i w ten sposób niech się zabijają jak najwięcej".

Prości ludzie Ameryki, proletariusze, prześladowani przedstawiciele czarnej i czerwonej rasy, robotnicy rolni, wyrzuceni z ziemi drobni farmerzy właściwie oceniają perfidię amerykańskiej polityki, niesprawiedliwość, jaka panuje w ich ojczyźnie, która jest „rajem dla bogatych, piekłem dla biednych", w której panuje „moralność dzikich zwierząt".

I jasne się staje, dlaczego w Waszyngtonie nie ma miejsca dla robotników. Kongresmeni i senatorzy, politykierzy i aferzyści chcą spokojnie załatwiać swoje sprawy „bez ciągłego oglądania się na przedmieścia robotnicze".

HENRYK BEREZA

*) *A. Wasiljew, Ameryka od strony schodów kuchennych, Książ i Wiedza, 1950.*

Waldemar Kiwilszo

O walce klasowej w USA

I.

CHCĄC dokładniej zdać sobie sprawę z obecnej pozycji Howarda Fasta w literaturze Stanów Zjednoczonych, należy umiejscowić go w bardzo pobieżnie choćby naszkicowanym kontekście rozumianej szeroko współczesności.

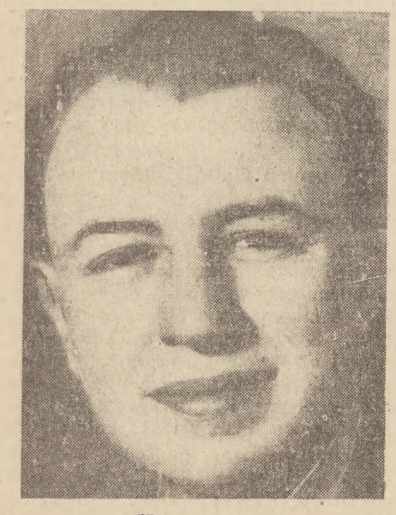

Howard Fast

Wśród poszukiwań najbliższego rodowodu społeczno - ideologicznego twórczości autora „Obywatela Toma Paine'a", wejdźmy w lata trzydzieste, ktore zrodziły w Ameryce głosny nurt literatury protestu, będącej odpowiedzią radykalizującej się części drobnomieszczaństwa na zagrożenie podstaw własnej egzystencji przez powikłania ekonomiczne wynikłe z kolejnego kryzysu. Lata te odświeżyły literaturę. Na widownię literacką wkraczają nowi pisarze. Wnoszą oni bunt obwieszczający ustrój, ktory nie gwarantuje spokoju i stałości życia. Tu się zaczynała droga twórcza Erskine Caldwella, Richarda Wright'a, Johna Steinbecka i innych pisarzy nazwany wówczas „progresywistami". W obliczu nadciągających „dni grozy" radykalizują się także dawni moraliści. Pryskają iluzje bajecznej ponadklasowej zgody, giną ostatnie złudzenia. W rezultacie nowych poczynań pisarzy powstają utwory nazwane później ogólnym mianem literatury „okrucieństwa", „brutalności" życia. Przykładem jej są „Myszy i ludzie" Steinbecka czy „Droga tytoniowa" Caldwella. Książki, znane dobrze naszemu czytelnikowi, kompromitowały ustrój skazujący człowieka na bydlęcość wegetowania. Jednakże dalsza ewolucja „progresywistów" amerykańskich była mniej chlubna, niż ich początek.

Odchodzenie od realizmu cechuje nowy, ostatni okres literatury amerykańskiej. Poprzednio ukazywana brutalność życia staje się kanonem estetycznym, realizowanym w nowych utworach z zabójczą konsekwencją. Teraz chodziło bowiem już jedynie o niezwykłość tematu.

Pierwsza powieść Fasta („Dzieci"), obrazująca upodlenie i nędzę życia dzieci wielkomiejskiej ulicy, chociaż i znamienna ze względu na podjętą aktualną tematykę, nie zapowiadała jeszcze rewolucyjności pisarza. Zdradzała niebezpieczne uleganie autora wpływom mieszczańskiego naturalizmu, znamiennego wówczas dla grupy pisarzy dawnych „progresywistów". Z czasem Fast zdecydowanie odciął się od tych wpływów ideowo-artystycznych.

Rozgłos i sławę przodującego pisarza postępowego Ameryki przyniosły Fastowi ogłaszane w latach drugiej wojny światowej powieści historyczne: „Zrodzeni z wolności" (1939), ostatnio przyswojona naszej literaturze „The last frontier", („Ostatnia granica", 1941), „Niezwyciężeni" (1942). „Obywatel Tom Paine" (1943), „Droga do wolności" (1944).

Gatunek powieści historycznej uprawiany jest nagminnie we współczesnej amerykańskiej literaturze. Imperializm powołał go na równi z innymi na służbę i służy mu on dzisiaj przez szerokie propagowanie reakcyjnych politycznych filozoficznych idei. Autorytet historii — oczywiście, umyślnie w sposób fałszywy preparowany — ma przekonywać do wartości ustroju wyzysku. Taki na przykład sens polityczny ma jedna ze starych „atrakcji" amerykańskiego rynku wydawniczego — powieść Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem", idealizująca plantatorsko-niewolniczy ustrój starego południa, który podważony został w wojnie z Północą. Inny przykład. Thornton Wilder, autor znanej w Polsce książki „Most w San-Lui-Rey", w swych powieściach i dramatach „historycznych" głosi uparcie i z cynizmem tezę o bezsensowności wszelkich poczynań człowieka, o absurdzie jakiejkolwiek bądź działalności społecznej, każąc ludziom ulegać niepojętemu, mistycznemu „dokonywaniu się przeznaczeń".

1ejczlaoawpy7890ŚĆ ETAOIN SHR

Takiej „filozofii" historii. zaprzeczającej postępowi historycznemu fałszującej dzieje, wypowiedział w swych utworach bezkompromisową walkę, Howard Fast. On to wziął na siebie trudną i odpowiedzialną wielce rolę — odkłamania historii Ameryki. W swych powieściach historycznych przeprowadza nas pisarz przez węzłowe momenty dziejów amerykańskiej demokracji burżuazyjnej, wyjaśniając sprzeczności społeczne mówiąc o walce klas, będącej rzeczywistą treścią historii.

Ale Fast nie gubi się w przeszłości, sięga do jej trzewi po to, aby każdorazowo wydobyć z niej aktualny sens polityczny. I dlatego nie zaskakuje nas wcale jego przejście do problematyki całkowicie współczesnej, osadzonej w dniach teraźniejszości.

II

„Clarkton"*) jest próbą powieściowego zobrazowania typowego konfliktu klasowego w warunkach powojennej Ameryki.

Dobiegły końca lata zawrotnej prosperity wojennej wielkich koncernów przemysłowych. Po wojnie wstępuje Ameryka w nowy kryzys. Amerykańscy „specjaliści od spraw polityki", mówiąc o walkach proletariatu w tym czasie, przyznają sami, że lata potężnych strajków w dobie wielkiego kryzysu (1929 — 1935) miały w sobie „mniej grozy i niebezpieczeństwa politycznego". Tak. Dzisiaj „Tragedia amerykańska", to więcej niż tytuł powieści Teodora Dreisera. Epizod tej tragedii ukazuje Fast w omawianej powieści.

Właścicielem fabryki jest pan George Clark Lovell, który mówi o sobie, orge Lovell, który mówi o sobie, że że „nigdy nie lubił interesów i nadal ich nie lubi". To, że się nimi zajmuje, to fatalna konieczność, bo „przyszła wojna, wszystko i wszyscy byli potrzebni". „Nie chciałem tej fabryki — mówi dalej. — W czasie wojny sądziłem, że spełnia ona jakieś zadanie i że praca w niej czyni mnie pożytecznym dla kraju". Ten król miasteczka, bo posiadacz milionów, uspokaja na wszelki wypadek własne sumienie rehabilitowaniem swej działalności ze względu na jej „społeczną użyteczność". Problematykę kapitału i milionowych dochodów podbudowuje jakąś filozofią misyjną i czuje się dobrze w tym świecie mitologicznych pojęć. Jednak nie długo cieszy się moralnym spokojem. Robotnicy zatrudnieni w jego fabryce odmienne widocznie mieli zapatrywania na „szlachetność" i „dobroczynność" takiego apostolstwa. Nie poznali się na tym i zburzyli jego ład i spokój swoimi brutalnymi żądaniami podniesienia wynagrodzeń. George Lovell jednak wcale nie zamierza zaspokoić ich żądań. Tym razem zdrowe wyrachowanie kapitalisty otwarcie bierze górę nad filozoficznymi namiętnościami.

Lowell z porady zarządzającego fabryką inżyniera Wilsona decyduje się wezwać pomocy jednej ze specjalnych amerykańskich instytucji do walki z ruchem robotniczym. „Leopold i James" byli „doradcami w sprawach przemysłowych", mieli swoje biura na trzydziestym drugim piętrze gmachu Empire State w New Yorku.

Na drugi dzień zjawia się w Clarktonie agent firmy „Leopold and James", wypróbowany „spec" od zagadnień robotniczych Hamilton Gelb. Robotnicy poznają w nim człowieka, który przed wojną zerwał niemało strajków w różnych stronach kraju. Z pomocą miejscowego naczelnika policji, sędziego oraz prowokatora, który przeniknął w szeregi strajkujących, opracowany zostaje plan rozgromienia strajku.

Przede wszystkim Gelb znajduje „legalny" powód do aresztowania tych, którzy kierują strajkiem — komunistów Danny Ryan'a i Joe Raye'a. Obaj dostają się w ręce policji. Gelb próbuje ich przekupić. Po niepowodzeniu tej akcji poddaje bezprawnie aresztowanych badaniu, sposoby którego niczym nie odbiegają od tak dobrze wypróbowanych metod gestapowskich sadystów. Jednakże nie udaje mu się złamać hartu i woli komunistów. Ryan po wydostaniu się z rąk zbirów organizuje potężną demonstrację protestacyjną. Policjanci strzelają do demonstrantów, — wśród strajkujących są zabici i ranni. Mimo wszystko Gelb i jego poplecznicy nie osiągają celu. Strajk trwa nadal.

Autor bardzo wyraziście rysuje postać zawodowego prowokatora i łamistrajka Gelba. Jest on cynicznym i wyrachowanym sługusem wielkiego kapitału. Gelb wie doskonale, że komuniści cieszą się zaufaniem robotników i dlatego uważa, że należy z nimi walczyć w sposób jak najbardziej bezwzględny. Wie też „...dlaczego komuniści są kluczem do wszystkiego. Nie dlatego, że nawołują do rewolucji, nie dlatego, że pragną obalić rządy, nie dlatego, że rozbijają rodzinę, kościół... to są bajeczki dobre dla tych, którzy chcą z nich korzystać. Nie o to chodzi — mówi sam Gelb. Chodzi o to, że komuniści bardzo mądrze uświadamiają robotników co do ich własnej siły. Mówią im, ile mogą zdziałać, gdy się ruszą".

Faszyście Gelbowi przeciwstawiony został w powieści Danny Ryan, sekretarz fabrycznej organizacji komunistycznej. Ten zwyczajny robociarz jest człowiekiem o przewidującym umyśle i wielkim męstwie.

Siła rewolucyjnych przekonań pozwala mu poprowadzić za sobą robotników bez względu na wahania oportunisty Nosky, oficjalnego kierownika związków zawodowych.

Postać Danny Ryana jest najmocniejszym punktem interesującej nas powieści. Fastowi powiodło się przedstawienie w działaniu pozytywnego bohatera. Jest to niewątpliwy sukces przodującego pisarza postępowej Ameryki.

III

W Ameryce są dwie literatury. Zgodnie z tym stanem rzeczy są także dwie krytyki. Jedną reprezentuje „Readers Digest", drugą — „Masses and Mainstream". Z jednej strony — krytyka obozu obskurantyzmu, intelektualnego szalbierstwa, albo też niemaskowanej reakcji, z drugiej — krytyka poważna, uczciwa, pełna poczucia swojej społeczno-wychowawczej doniosłości. Są więc, niewiele rzecz uproszczając, dwa sądy o pisarzu,.

Spór o pisarza, (który zakończył się osadzeniem Fasta w więzieniu za „działalność antyamerykańską") jest pouczający. Ma swoją wymowę, odsłaniającą proces wzmagania się reakcji literackiej w związku z nasileniem się walki klasowej w Ameryce. Wystawia on też bodaj czy nie najlepsze świadectwo samemu pisarzowi.

Waldemar Kriwilszo

*) Howard Fast, Clarkton, przekład Zofii Meissner „Książka i Wiedza", 1950.

Co czytać

Pogromcy głodu

G. Fisz: „Rzeczywistość radziecka i amerykańskie bajki". Państwowy Instytut Wydawnictw Rolniczych, Warszawa, 1950.

Znane są słowa pewnego uczonego: *„Historia otacza chwałą bitwy, w których giniemy, a milczy o polach uprawnych, które nas żywią. Zna ona imiona królów i ich potomstwo, ale nic nie wie o pochodzeniu pszenicy".*

Dużo się zmieniło jednak — tam, gdzie upadł porządek burżuazyjny. W Związku Radzieckim, na równi z imionami zwycięskich wodzów znane są nazwiska twórców nowych odmian i gatunków roślin uprawnych. I oni przecież wygrali nie jedną — jakże dramatyczną i ważną dla swej ojczyzny i ludzkości bitwę, zapewniając pokoleniom zwiększone plony i rozwój kultury.

O tych „pogromcach głodu" o trudach ich badań i zabiegów, o ich osiągnięciach informuje nas 100 stronicowa broszura G. Fisza: *„Rzeczywistość radziecka i amerykańskie bajki"* wydana przez PIWR. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że książka ta poruszająca szereg zagadnień z dziedziny hodowli roślin uprawnych i problemów teoretycznych ujęta została w formę żywą, opowiadawczą, niemal reportażową. „Akcja" jej toczy się podczas ostatniej wojny światowej, kiedy nauka radziecka zapisała jeden z najpiękniejszych swych rozdziałów.

Oczywiście zadaniem książki nie jest danie systematycznego wykładu zagadnień, autor pragnął po prostu zbliżyć pewne sprawy do czytelnika, zainteresować go tematem, a także sprostować błędne opinie, jakie mogły powstać w umysłach ludzi niedostatecznie uświadomionych, pod wpływem tendencyjnych fałszów, głoszonych przez niektórych publicystów a nawet uczonych anglosaskich. A kto wie, czy nie było jego zamiarem skłonić czytelników tej pasjonującej choć prostej opowieści — mającej za temat rzeczywistość, bogatszą od niejednej fantazji — do rozszerzenia i pogłębienia uzyskanych wiadomości, już na drodze lektury prac szczegółowych, jakich niemało publikuje wydawnictwo „Sielchozgów" (a których udostępnienia polskiemu rolnikowi i pracownikowi naukowemu w postaci odpowiedniego wyboru przekładów możemy się chyba spodziewać). I sądzę, że te cele autor osiągnął w pełni.

W pierwszym opowiadaniu mamy opis pełnej samozaparcia pracy zespołu WIR-u (Wszechzwiązkowy Instytut Uprawy Roślin) podczas ostatniej wojny. Wobec zajęcia wielkich obszarów uprawnych przez wroga, powstała konieczność przeniesienia szeregu upraw na wschód. Opracowano szczegółowy plan i posegregowano olbrzymią kolekcję nasion WIR-u (ok. 200 tys. próbek, w czym samych tylko czterech podstawowych zbóż 70 tys. próbek!) dzieląc każdą próbkę na dwie części: jedna miała pozostać na miejscu, drugą przeznaczono do ewakuacji na Ural. Czynności te, wymagające wiele wysiłku, spełniają pracownicy WIR-u (w szczupłym składzie, bo wielu z nich poszło na front) w oblężonym Leningradzie, stale ostrzeliwanym przez nieprzyjacielską artylerię. Pracują w nieopalonych pomieszczeniach Instytutu, słaniając się na nogach ze zmęczenia i głodu. *„Jesteśmy związani z całym życiem Związku Radzieckiego, z całą jego tytaniczną walką... Wojna dla nas jest wspaniałym egzaminem, i na pewno go zdamy... Tu przygotowujemy ofensywę"* — raportował dyrektor WIR-u o pracy swego zespołu. Tak, to też była ofensywa. Niemniej ważna od tamtej, znanej z historii i z komunikatów wojennych. I równie zwycięska. „Ewakuowane" nasiona zapewniały krajowi dobrobyt. Prace badawcze nie ulegały przerwie ani na chwilę. Wzruszający jest opis, jak to na poletku doświadczalnym w Leningradzie strącane odłamkami pocisków tabliczki z napisami zastępuje się nowymi, albo jak w wygłodzonym mieście przewozi się do Instytutu wykopane ziemniaki... dla celów naukowych.

Te wojenne wspomnienia z frontu nasion i bulw niemniej są ciekawe od wspomnień z okopów. Mówią o cichym bohaterstwie pracy, o wytrwaniu na powierzonym sobie odcinku, o samozaparciu.

Co miał o tym do powiedzenia biolog angielski, J. Huxley, który po wojnie gościł w ZSRR? W czasopiśmie „Natura" napisał że: *„część pozostawionego w Leningradzie zbioru nasion zjedzono podczas oblężenia".* Wystarczy tę złośliwą bajkę skonfrontować z jednym dramatycznym obrazkiem recenzowanej książki: stary Szczukin specjalista od roślin oleistych umiera z głodu w swym gabinecie, a przecież w sąsiednim pokoju stoją skrzynki z pożywnymi nasionami... Tak wyglądała rzeczywistość.

Końcowe opowiadanie zbiorku pod tytułem: *„Przekształcenie gatunków"* zapoznaje czytelnika z podstawowymi założeniami słynnej teorii miczurinowsko-łysenkowskiej, z metodami pracy eksperymentalnej akademika Łysenki. Uderza nas od razu sposób przedstawienia zagadnień przez Fisza. Zamiast suchego wykładu, a choćby nawet popularnego, przystępnego informowania — mamy, chciałoby się rzec, nowelkę. Nowela o przemianie gatunków! A więc „czarodzieje sadów" powodują jeszcze jedną szczęśliwą „przemianę gatunków", tym razem literackich... u Fisza. Czytałem te dzieje pracy dyplomowej Karapetiana, ucznia Łysenki (temat pracy: wyhodowanie z twardej pszenicy jarej — twardej ozimej), opis dziwów, dziejących się na jego poletku doświadczalnym, jakby to była powieść. Bo losy zasianej pszenicy „Hordeiforme 10" (t. zw. Kubanki) ciekawsze są, niż niejedna historia romantyczna heroiny o równie egzotycznym imieniu. Wynik „nieudanych" doświadczeń: otrzymanie z twardej jarej pszenicy — odmian miękkiej ozimej pozwala Łysence pocieszyć doktoranta: *„Udało się wam dużo więcej! Przekształciliście jeden gatunek w drugi".* I tak, czytelnik urzeczony żywym tokiem beletrystycznej narracji, nie zdając sobie z tego sprawy, jak i kiedy, wciągnięty zostaje w splot zagadnień *agrobiologii*, zaczyna rozumieć *rewolucyjność teorii stadialnego rozwoju roślin* (opartej na założeniach materializmu dialektycznego) — w zestawieniu z ciasnym ewolucjonizmem starej szkoły neodarwinistów, zapoznaje się z zasadniczymi tezami *nowoczesnej genetyki* (nieznaczne nagromadzenie zmian ilościowych, przeskoki jakościowe, na tle dziedziczenia cech nabytych). Wpatrzeni w „cuda", dziejące się na poletku wyłuskujemy co chwila ziarna nowych prawd. I nie dziwi nas w końcu ziarno miękkiej pszenicy, odkryte w kłosie między szklistymi ziarnami twardej. Nie zdziwi nawet ziarno żyta w kłosie pszenicznym (co się trafiało na Zakaukaziu).

Bo — mówiąc słowami Lenina (przytoczonymi w zakończeniu książki) — *dla materialisty świat jest bogatszy, żywszy, bardziej różnorodny, niż się wydaje, ponieważ każdy krok rozwoju nauki wykrywa w nim coś nowego".*

Warto, by ta opowieść o rzeczywistości, ciekawszej od najśmielszej baśni znalazła się w każdej wiejskiej świetlicy i w bibliotekach szkół rolniczych.

P. S. Wypada zwrócić uwagę że to ostatnie opowiadanie, wydane zostało (pod tytułem: *„Przemiana gatunków")* także przez „Książkę i Wiedzę" oddzielnie jako 45-stronicowa książeczka. Oczywiście rzecz bezwzględnie zasługuje na rozpowszechnienie, jak wyżej powiedzieliśmy. Jedno tylko małe „ale". Plan wydawniczy wymaga koordynacji, a tu mamy przykład pewnej dwutorowości. Wydawnictwo PIWR-u ma tę przewagę, że prócz *„Przekształcenia gatunków"* — daje nam jeszcze inne rzeczy tegoż autora, w pewien sposób wiążące się tematycznie w cykl.

w.j.k.

Prawda wyprzedza marzenie

Zacznijmy od ostatniej opowieści, od której zapożyczyła tytuł cała książka: „Wyprzedzamy legendę". Jest to pouczająca historia zwycięskiej walki o zwiększenie plonów prosa.

Południowo - wschodnie obszary dawnej Rosji często nawiedzała klęska posuchy, niesionej przez palący oddech pustyni. Chłopi porzucali ziemię, niszczoną przez suszę. „Najbardziej uporczywa wojna nie pociągnęłaby za sobą takiej liczby ofiar" — pisał Lenin, z powodu głodu, jaki był wynikiem suszy 1901 r. i lat poprzednich.

Po każdej takiej suszy zwiększał się obszar, zajęty pod uprawę prosa. Wymaga ono dwa razy mniej wilgoci niż pszenica, toteż chętnie je siali chłopi w tych stronach, widząc w nim jedyne zboże, odporne na klęskę, chroniące przed głodem. Szereg przyczyn składał się jednak na to, że zwiększeniu obszaru uprawy towarzyszył stały spadek wydajności prosa z hektara (nieodpowiedni czas siewu; nieumiejętna uprawa, trudności walki z chwastami, podkreślana już w przysłowiu: „proso pleć — ręce kłuć"; nierównoczesne dojrzewanie ziaren w wiechach i wysypywanie się wcześniej dojrzałych przed zbiorem itp). Siano proso w tych stronach i po wprowadzeniu ustroju radzieckiego. Zdawało się, że gdy plan siewu nie został wypełniony, a na inne zboża było już za późno, można było „łatać plan prosem".

Łysenko, sprawdzając raporty o plonach, nadsyłane z obwodów, zastanawiał się nad przyczynami niskich urodzajów. Widział przecież w prosie roślinę szlachetną, z natury swej raczej zdolną do dawania wysokiego plonu. Przeprowadzał w cieplarniach doświadczenia, starając się rozwiązać zagadkę prosa. Korzystając z poparcia i inspiracji władzy radzieckiej i partii, ustalił w wyniku swoich badań kompleks metod agrotechnicznych, zapewniających duży plon.

Uchwała Rady Komisarzy Ludowych i CK WKP(b) z października 1938 r. o sposobach zapewnienia stałych urodzajów w suchych południowo - wschodnich rejonach ZSRR poleciła zorganizować w 1939 r. w kołchozach i sowchozach na przestrzeni 500 tys. ha zasiewy prosa, z zastosowaniem metod, ustalonych przez Łysenkę. Akcję oparto na pracy zespołowej w kołchozach, wyznaczając premie za nadwyżki plonów. Kierownictwo zadania pawierzono Akademii Nauk Rolniczych. Plon miał wynieść nie mniej niż 15 q z 1 ha, co kilkakrotnie przewyższało normalnie osiągane plony.

Brygada pracowników naukowych — pełnomocników Akademii na poszczególne obwody — wyrusza w teren z instrukcją: oprzeć się na pracy zespołów, utrzymywać ścisły kontakt z terenowymi komitetami partyjnymi. I oto urzeczywistnia się gigantyczny eksperyment na „półku doświadczalnym" o obszarze pół miliona hektarów! Ba! uchwała lutowego plenum CK z r. 1947, zalecająca podniesienie plonów prosa przy wykorzystaniu doświadczeń kołchozów, sowchozów i nauki rolniczej z lat 1939 i 1940 rozszerza to „półko doświadczalne" na milion hektarów. I wynik zostaje osiągnięty. Jak wyglądała ta praca zespołowa, co dała krajowi, uzbrajając zrazem naukę, do jakich wyników dochodzili niektórzy ambitni kierownicy „ogniw" (jak np. słynny kołchoźnik Kazachstanu, Biersijew, który pierwszy w dziejach rolnictwa przekroczył swoim plonem prosa osiągalną górną granicę wydajności zbóż, ustaloną przez Williamsa na **200 q z 1 ha)** — o tym szczegółowo i zajmująco opowiadają nam rozdziały książki.

Na tle tej historii prosa trzeba podkreślić istotny „morał" prawdy „wyprzedzającej legendę". Widzimy tu zupełne zespolenie nauki z produkcją: pracownicy naukowi stają się kierownikami produkcji, zespoły w kołchozach — pomocniczym aparatem Akademii (240 tysięcy laborantów!), rezultach zaś doświadczeń — to zwiększony plon, dający krajowi dobrobyt. Takie powiązanie założeń nauki z metodami organizacji pracy w kłochozach, znajdujące oparcie w prawodawstwie państwowym i aktualnej pomocy i kontroli partii — możliwe jest tylko w ustroju radzieckim. Ale też tylko taka jedność działania i dyspozycji zapewnić mogła zwycięstwo w walce o podniesienie urodzaju.

Spełnił się postulat Timiriasewa: „Nauka powinna zejść ze swego piedestału i przemówić językiem ludu".

Inny temat porusza pierwsza opowieść zbiorku mówiąca o walce ze szkodnikiem pszenicy, „czerepaszką" (żółwikiem), prowadzonej przez pracowników Instytutów Naukowych pod kierunkiem Łysenki. Pluskwiak ten wysysa źdźbło, a jego larwy niszczą ziarno. Próbowano dotąd różnych środków dla zwalczania szkodnika (opylanie kurzem i pyłem tytoniowym, różne chemikalia z gazami włącznie, kopanie rowków, ręczne zbieranie owadów) — lecz daremnie. Wreszcie w stosie bezpłodnej „literatury przedmiotu" Łysenko wyszperał skromną pracę Wasiliewa. Okazało się, że „czerpaszka" ma śmiertelnego wroga: jest nim maleńki owad telenomus, składający swe jajeczka w jajeczkach pluskwiaka. Larwy pasożyta, rozwijające się wcześniej, żywią się zawartością jajeczek „czerepaszki", niszcząc w ten sposób jej potomstwo w zalążku.

Dla uratowania plonu trzeba było wyhodować odpowiednią armię telenomusów zawczasu, ażeby znów to osiągnąć — zebrać odpowiednią ilość pożywki dla nich, tj. jajeczko pluskwiaka. Należało to już zrobić zimą, skoro miało się uratować plon 1939 r. Tu jednak tkwiła przeszkoda naturalna: „czerepaszka" składa jajeczka latem.

Ten węzeł gordyjski przecina Łysenko decyzją: „A więc wbrew wszystkim źródłom naukowym, trzeba zmusić ją do tego, aby składała jajeczka wtedy, kiedy nam to jest potrzebne. Plony muszą być uratowane".

I w tej historii mamy przykład ścisłej współpracy naukowców z kołchozami i wiejskimi laboratoriami. Oto do odeskiego Wszechzwiązkowego Instytutu Selekcyjno - Genetycznego zaczynają nadchodzić przesyłki z żywymi pluskwiakami. Część zebranych w myśl instrukcji szkodników (zimujących w lasach, w listowiu) pozostawiono w laboratoriach wiejskich, oczekując na przesłanie z Instytutu wyhodowanych telenomusów. Organizuje się masowe przeszkolenie, układa instrukcje, wypełnia ankiety. Jednocześnie pod działaniem temperatury, w cieplarniach „czerepaszki" zostają zbudzone ze snu zimowego i zmuszone do składania jajeczek. Następuje masowa hodowla telenomusów. „Nieprzyjaciel poniósł klęskę".

Poza właściwym celem kampanii: uratowaniem plonów pszenicy, jakie były dodatkowe korzyści? Nauka wzbogaciła się dzięki uzyskaniu wiadomości o życiu i obyczajach owadów, będących przedmiotem doświadczeń, w sposób, o jakim nie można by myśleć przy akademickim podejściu do zagadnienia. Korzystanie z pomocy laboratoriów wiejskich spowodowało, że wiele z tych prostych a chętnych do współpracy ludzi wykształciło się na specajlistów w swej dziedzinie, potwierdzając raz jeszcze słuszność leninowskiego twierdzenia o możliwości zatarcia w nowym ustroju różnic między pracą fizyczną a umysłową. Następna z kolei opowieść: „Radziecka rzeczywistość i amerykańskie baśnie — pod takimże (nieznacznie różniącym się) tytułem wyszła, jako oddzielna książeczka, w wydaniu P.I.W.R. Z okazji recenzowania pozycji wydawniczej P.I.W.R.-u zwróciłem uwagę na dublowanie z „Książki i Wiedzy" pracy Fisza o przemianie gatunków. Tu mam do odnotowania drugi przykład dwutorowości obydwu wydawnictw. Dodam jeszcze, że są różnice w tekście obydwu tłumaczeń tej samej rzeczy (nie chodzi mi o różnicę stylu, nazw — ale o samą zawartość: jeden tekst obszerniejszy, drugi szczuplejszy wskazujący na stosowanie skrótów).

Recenzowaną książkę zdobią ilustracje, typu, jaki stosuje się przy ilustrowaniu beletrystyki. Ożywia to narrację i dopomaga w popularyzacji przedmiotu.

wjk

Gennady Fisz: „Wyprzedzamy legendę". Przekład Marii Kowalewskiej „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 200.

Prasa regionalna

W okresie rządów burżuazji najpiękniejsze, postępowe tradycje w życiu naszego narodu były bądź po prostu przemilczane w „oficjalnej" historiografii, bądź zniekształcone i wyjałowiane z ich rewolucyjnej treści.

Ujawnianie tych postępowych tradycji w całej ich rewolucyjnej krasie — oto jedno z zadań publicystyki współczesnej. Łączy się to z koniecznością demaskowania tej antyludowej i antynarodowej postawy wielkiej zwłaszcza burżuazji polskiej, na jaką staczała się ona coraz bardziej w miarę gnicia ustroju kapitalistycznego i jego przechodzenia w ostatni okres swego historycznego rozwoju — w fazę imperializmu.

Ze względu na odmienność losów historycznych poszczególnych obszarów Polski w latach 1772 — 1918, oraz siłę minionych tradycji i powiązań, które odegrały tak wielką rolę w życiu poszczególnych części Polski jeszcze w latach 1918 — 1939 — trzeba obie te sprawy rozpatrywać w aspekcie poszczególnych regionów Polski. W świetle tych rozważań bardzo cenną incjatywę wniosła ostatnio „GAZETA POZNAŃSKA" występując z całym cyklem artykułów (podpisanych F. M.) p.t. „RODOWÓD ZDRADY NARODOWEJ. MAGNATERIA WIELKOPOLSKA SOJUSZNIKIEM MONARCHII PRUSKIEJ", w których odsłania kulisy zdrady narodowej Radziwiłłów, Raczyńskich itp. magnatów i obszarników wielkopolskich.

Spodziewamy się, że „GAZETA POZNAŃSKA" nie poprzestanie na tym, ale zapozna swych czytelników również i z drugim, plebejskim, narodowo - wyzwoleńczym nurtem, jaki żywo tętniał w Poznańskim w okresie zaborów, z późniejszym oddziaływaniem ruchów rewolucyjnych niemieckich oraz z działalnością SDKPiL (a zwłaszcza Róży Luksemburg) i KPP na terenie obecnego województwa poznańskiego.

„Uznając Wilsona za wroga narodu polskiego nie życzymy sobie, by nazwisko jego tyle razy dziennie było wypowiadane przez społeczeństwo poznańskie", „nasz park nie może się nazywać imieniem wroga socjalizmu", piszą czytelnicy „GAZETY POZNAŃSKIEJ", domagając się zmiany nazwy głównego parku swego miasta.

Ten fakt jest wymownym dowodem, jak głębokie przemiany zaszły już w ciągu tych ostatnich niewielu lat na terenie Poznania i woj. poznańskiego, gdzie nurt rewolucyjny tętni dziś z niemniejszą siłą, niż w innych częściach Polski.

* * *

Na ostatniej naradzie 50 korespondentów robotniczo-chłopskich ze Stalowej Woli, Niska i powiatu nożańskiego, piszących do „NOWIN RZESZOWSKICH" zabrał głos m. in. hutnik, ob. Rożek, który, mówił o tym, z jak wielkim zainteresowaniem śledzą robotnicy Stalowej Woli rozwój „NOWIN RZESZOWSKICH", domagając się poruszania w każdym numerze dziennika tych spraw, które poruszają i obchodzą teren. „Dotychczas jednak — mówił ob. Rożek (a uwaga ta powinna zainteresować korespondentów i innych gazet w Polsce) — korespondenci nasi za mało popularyzują nowe formy współzawodnictwa, niedostatecznie informują o jego przebiegu w terenie, nie pokazują w wystarczającym stopniu przodowników i racjonalizatorów, nie walczą o demaskowanie wroga klasowego, który przejawia swą dywersyjną działalność atakując szczególnie handel uspołeczniony".

„NOWINY RZESZOWSKIE" coraz więcej miejsca poświęcają sprawom kulturalnym swego terenu. W ostatnim czasie zanotować należy ostrą, ale słuszną krytykę celowości wystawienia „Szczęścia Frania" — Perzyńskiego przez Teatr Ziemi Rzeszowskiej, pióra Władysława Madejskiego, który słusznie pisze: „poprzestać tylko na pokazaniu ohydy klasy wyzyskiwaczy, bez przeciwstawienia tego co nowe i młode, to znaczy wpaść w burżuazyjny dekadentyzm...", „pokazać natomiast bagno moralne burżuazji i przeciwstawić temu (jak to zrobił Perzyński — nasz przyp.) nieporadność i ograniczoność proletariatu — to znaczy obiektywnie wysługiwać się ideologii burżuazyjnej..."

Ta recenzja, jak również artykuł Stanisława Witowskiego p.t. „Powiatowy Dom Kultury w Rzeszowie wobec swych zadań" (szkoda, że zbyt ogólnikowy) — świadczy o tym, że „NOWINY RZESZOWSKIE" zabierają się coraz poważniej do rozgryzania problematyki kulturalnej swego terenu.

S. C.

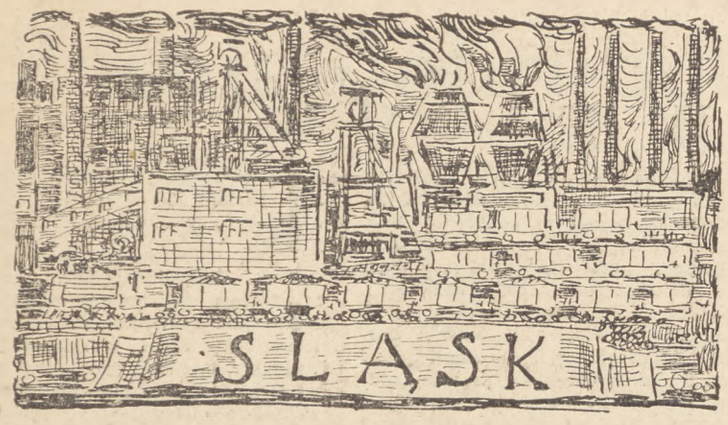

Kawczyk, Śliwa, Borkowski, Gajda...

TEMATÓW tu macie tyle, ile węgla pod ziemią! — zazdroszczą nam dziennikarze z innych okręgów, przyjeżdżając na Śląsk. Spuszczamy skromnie oczy — i nie zaprzeczamy.

Śląsk, to obszar, który dla mieszkańców innych części Polski kojarzy się wyłącznie z węglem, stalą, kominami i dymem. A przecież — mamy również „Zielony Śląsk" bez sadzy i dymów, rolniczy — Śląsk dwudziestu już — pierwszych — spółdzielni produkcyjnych! My sami zapominamy nie raz, że zaraz za przemysłowymi Gliwicami rozpoczyna się wieś, że wieże wyciągowe kopalń rybnickich otoczone są wokół szachownicami pól; że Pszczyna, Cieszyn, Zawiercie, Lubliniec, Częstochowa, to w zasadzie powiaty rolnicze, z „rzadka" tylko przetykane kominami fabryk... — Są więc dwa Śląski: „CZARNY" tworzący właściwie jedno potężne, 2-milionowe miasto, ciągnące się od Dąbrowy Górniczej, przez Będzin, Sosnowiec, Szopienice, Mysłowice, Katowice, Siemianowice, dalej — przez Chorzów, Lipiny, Bytom, Zabrze, aż po Gliwice; — i „ZIELONY", gdzie coraz częściej traktory zaorują miedze, gdzie kułak ma coraz mniej do powiedzenia, gdzie w ostrej walce klasowej tworzy się nowa wieś. Dzisiaj skupimy sie wyłącznie na okręgu przemysłowym — na SERCU PLANU 6-LETNIEGO, które bije i pracuje dla pokoju i socjalizmu.

Wzięliśmy dobry start dla realizacji zadań drugiego roku Sześciolatki; posługując się gwarą sportowców (których na Śląsku jest przecież najwięcej) — wyszliśmy dobrze z dołków. To jest: dużo, znacznie więcej niż rok temu węgla wyszło z dołu w pierwszych miesiącach roku 1951.

Gdzie tkwi tajemnica sukcesu?

Nie tylko w tym, że jak to powiedział Prezydent Bierut na V Plenum, że przesiadamy się szybko na konia WYŻSZEJ TECHNIKI, że pracujemy coraz nowocześniejszymi i sprawniejszymi maszynami, że mechanizujemy wiele robót wykonywanych dotąd ręcznie (weźmy np. taki „kaczy dziób!" — wyrąbać nim można w ciągu tygodnia tyle, ile w ciągu miesiąca wyrębywał Markiewka! Rzecz bowiem w tym, że tego konia wyższej techniki opanowują i dosiadają nowi DZIELNI LUDZIE.

Dobrze jest, jeśli każda dziedzina naszej śląskiej pracy kojarzy się z nowymi a już sławnymi nazwiskami. Bo to znaczy — że rosną u nas nowe socjalistyczne kadry.

ALFRED KAWCZYK, zetempowiec z kopalni „Bytom", nie różni się niczym od swych towarzyszy pracy. Alfred Kawczyk rzucił hasło: „CYKL NA DOBĘ!", otwierające nową kartę w kronice socjalistycznego współzawodnictwa w przemyśle węglowym. Apel do pracy cyklicznej, masowo podjęty przez górników ścianowych, a wywołujący oprócz tego nową falę konkretnych zobowiązań długoterminowych, podejmowanych przez towarzyszy filarowców i chodnikowców, pozwolił zwiększyć znacznie wydobycie węgla, tego chleba dla przemysłu. Tracącemu coraz bardziej tu na Śląsku prawa obywatelstwa pijackiemu okrzykowi, dodali górnicy jedną literę: „N o t o c y k l!" — oto ich toast, który wznoszą codziennie — na zdrowie Planu 6-letniego!"... Codziennie? Nie raz nawet i częściej: w kopalni „Mikulczyce" załoga ściany w oddziale X, prowadzona przez brygadzistów Teodora Skrzypczaka i Joachima Niewiedziołа, dała w miesiącu 35 cykli, przekraczając o 7 swoje zobowiązanie; w kopalni „Barbara - Wyzwolenie" brygada Mariana Salomona zamknęła w ciągu miesiąca 34 cykle; w kopalni..., przykładów takich przytoczyć można by więcej. A w kopalni „Mysłowice" opracowano już harmonogram na 2 CYKLE NA DOBĘ!

Był taki, dość utarty, zwrot dziennikarski: „Kopalnie śląskie tętnią rytmem wzmożonej pracy..." Zwrot może nawet i udany, ale z tym rytmem było trochę niebardzo: w wielu kopalniach pracowano nie rytmicznie, a zrywami. W pierwszych dniach miesiąca, krzywa wydobycia opadała — gdzieś koło 10 do 15-go brano się dopiero poważniej do roboty — by pod koniec miesiąca ciągnąć co sił, a nawet i ponad siły. W efekcie, plan miesięczny był uratowany, ale osiągano to w—zbutecznie —nerwowej i gorączkowej atmosferze, kosztem nadmiernego wysiłku załogi. I znów pogrążano się w błogiej drzemce, by obudzić się dopiero w trzeciej dekadzie...— Rozpoczęła się więc w górnictwie WALKA O RYTMICZNOŚĆ PRACY, o to, by kopalniane zegary nie spóźniały się w pierwszych dniach miesiąca i nie nadganiały następnie straconego lekkomyślnie czasu. Ludzie śląscy „regulują" w kopalniach zegary i kalendarze — nastawiają się na rytmiczne wykonywanie planów produkcyjnych.

A hutnictwo? Tu zapoczątkował ruch TOW. ŚLIWA ze stalowni huty „Bankowej", rzucając hasło współzawodnictwa o PRZEDŁUŻENIE ŻYWOTNOŚCI PIECÓW MARTENOWSKICH — o danie więcej stali dla budowy podstaw socjalizmu. Bo do tej pory było tak, że, gdy jeden piec osiągał w ciągu kampanii 400 i 500 wytopów, to drugi, taki sam, tylko 200 Stalownik „Bankowej", tow Stefan Śliwa doszedł do wniosku, że to nie piece winny, ale ich załoga. Wzorując się na doświadczeniach radzieckich towarzyszy, stalownicy wydali więc walkę przedwczesnemu zużywaniu się sklepień pieców martenowskich. „Bankowa" rzuciła hasło — podchwycili je stalownicy wszystkich naszych hut Pierwsze wyniki zapowiadają, że dzięki nowej formie współzawodnictwa, przemysł hutniczy będzie mógł dać Państwu dziesiątki tysięcy ponadplanowych ton stali!

Słyszeliście już o metodzie inż. Kowalowa? — Metoda ta wychodzi z analizy człowieka, jego sposobów pracy, ruchów, chwytów w centralnym punkcie procesu produkcyjnego. Badając i głęboko analizując pracę kilkunastu robotników, zatrudnionych w tym samym zakładzie pracy przy jednakowej robocie, Kowalow opracowuje najlepszą, najbardziej racjonalną metodę wykonywania danej czynności, a następnie — upowszechnia ją wśród całej załogi. Innymi słowy: metoda Kowalowa polega na: równaniu w górę, na podciąganiu słabszych robotników do poziomu przodujących. — Młody, świeżo - upieczony inżynier Katowickiej Fabryki Sprzętu Górniczego, RYSZARD BORKOWSKI, jako pierwszy w Polsce wystąpił z inicjatywą zastosowania w naszych zakładach metod radzieckiego inżyniera — nowatora. Inteligencja techniczna Śląska, zebrana na zwołanej w związku z wezwaniem Borkowskiego naradzie, doszła do zgodnego wniosku, że metodę Kowalewa zastosować można absolutnie w każdej gałęzi przemysłu i że wszędzie przyniesie ona znaczny wzrost wydajności i produkcji. W hutnictwie np. — jak stwierdził inż. Borejdo— zastosowanie metody Kowalowa da jeszcze w r 1951 około 100 tys. ton stali ponadplanowej produkcji! — Metoda Kowalowa, to nowa broń mas pracujących Śląska w walce o pełną realizację planów gospodarczych.

I wreszcie — TEODOR GAJDA, ślusarz huty „Zygmunt", czołowy racjonalizator, awansowany ostatnio na stanowisko referenta usprawnień.

— Gajda? — nie słyszeliśmy o takim inicjatorze nowego współzawodnictwa w produkcji. Macie rację bo tu chodzi o Teodora Gajdę i napisaną przez niego sztukę teatralną „OBROTNICA", którą wystawił zespół klubu fabrycznego Domu Kultury przy hucie „Zygmunt". Jest to niewątpliwie najbardziej znamienne wydarzenie kulturalne ostatnich miesięcy na Śląsku. „Obrotnica" opowiada o życiu i pracy hutników — postacie sztuki tchną bezpośredniością i prawdą. Sztuka Gajdy jest przykładem ścisłego POWIĄZANIA PRODUKCJI I KULTURY — służy wielkiej sprawie propagandy poglądowej zagadnień produkcyjnych. — Oddział katowicki ZLP otoczył utalentowanego dramaturga — robotnika troskliwą opieką. Po dokonaniu poprawek „Obrotnica" wejdzie na scenę zawodowych teatrów śląskich. Zaznaczyć należy, że Gajda pracuje obecnie nad dwoma nowymi utworami scenicznymi.

Kawczyk, Śliwa, Borkowski, Gajda... Cztery nowe nazwiska pierwszych miesięcy drugiego roku Sześciolatki, symbolizujące twórczą inicjatywę robotników i inteligencji technicznej Śląska, inicjatywę, gwarantującą wykonanie ambitnych zadań Wielkiego Planu. Prowadzone przez ŚLĄSKĄ ORGANIZACJĘ PARTYJNĄ — która, jak powiedział tow Minc na VI Plenum KC PZPR, „...zrobiła wielki krok naprzód w dziedzinie owładnięcia zagadnień gospodarczych,... kieruje mniej ogólnikowo, a bardziej konkretnie, mniej przez komenderowanie, a bardziej w oparciu o znajomość rzeczy i konkretne codzienne przełamywanie trudności..." — masy pracujące śląskiego okręgu przemysłowego, jednocząc się w potężnym froncie narodowym, z rozmachem wzięły na warsztat — Plan 1951. Chodzi o to, by go przedterminowo wykonać!...

Zbigniew Dutkowski

Czujność na froncie narodowym

Walcząc o umocnienie i pogłębienie frontu narodowego na wsi trzeba go pilnie strzec przed niebezpieczeństwem oportunistycznego wypaczenia.

Są bowiem jeszcze na wsi tacy działacze, którzy wciąż jeszcze nie rozumieją, że dziś klasa robotnicza reprezentuje w całej pełni interesy narodu. Nie dostrzegają oni tego, że front narodowy w Polsce wyrasta na bazie głębokich przeobrażeń w strukturze klasowej i treści społecznej narodu polskiego, i że istotnym warunkiem rozszerzenia tej bazy jest nie osłabianie, lecz zaostrzenie czujności wobec zakusów międzynarodowego kapitału (jak również jego popleczników i sługusów w kraju) na naszą suwerenność i niezależność narodową, na naszą siłę gospodarczą.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Łubnianach (pow. Opole) sądził inaczej.

Zwolnił bowiem Kułaka Pasonia z obowiązku dostawy przeszło pół tony zboża. W dokumentach GRN zapisano: „Pasoń jest dobry obywatel, bo zakontraktował różne uprawy, jak buraki i len..." Dlatego go zwolniono! Okazało się jednak, że „dobry obywatel" Pasoń wcale nie zakontraktował buraków ani lnu, tylko... 0,37 ha rzepaku. To wszystko.

Inny przykład: szynkarz Ciurlok, wyzyskiwacz, który zbija majątek na rozpijaniu chłopów, zwolniony został przez przewodniczącego z obowiązku sprzedaży 700 kg. zboża.

Takich przykładów jest więcej. W pracy GRN tego nie widać ani oparcia się na małorolnym, ani walki z kułakiem. Widać natomiast ugodę klasową w imię źle pojętego „frontu narodowego".

A walka toczy się dokoła. W gminnej spółdzielni bogacze mogą wykupywać, co chcą, bo brak kontroli. Zdarzają się też w okolicy wypadki spekulacji zbożem: np. bogacz, Jan Nogosek, sprzedał za 90 zł metr żyta biednemu chłopu obarczonemu dziesięciorgiem dzieci! — Podobnych wypadków łajdackiego wyzysku klasowego przewodniczący GRN w Łubnianach nie dostrzega. Bo on wykombinował sobie swój własny, wypaczony front narodowy, z kułakiem Pasoniem i szynkarzem Ciurlokiem na czele.

✣

Hasło frontu narodowego większość chłopów pracujących pobudziło do tym większej aktywności społeczno-politycznej, do zaostrzenia czujności wobec wszelkich zakusów wroga klasowego, godzącego niejednokrotnie w podstawowe interesy narodu i państwa.

Tak zrozumieli hasło frontu narodowego chłopi małorolni Waleciak, Sobański i Wojtyła, aktywiści Związku Samopomocy Chłopskiej, wchodzący w skład obywatelskiej komisji podatkowej, powołanej przez Gminną Radę Narodową, w Grabicy (pow. Piotrków) do czuwania nad prawidłowością wymiarów podatkowych od gospodarstw rolnych.

Wiadomo, że w gromadzie i gminie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi". Nic więc dziwnego, że członkowie komisji obywatelskiej, której społecznym obowiązkiem jest czuwanie nad tym, ażeby biedniejszemu chłopu nie działa się krzywda, a bogacze nie ukrywali swoich dochodów, nie spekulowali i nie oszukiwali — zaraz w pierwszym dniu swojej działalności wykryli u kułaków we wsi Syski podzielone fikcyjnie obszary ziemi, o łącznej powierzchni 74 ha.

I tak na przykład bogacz Józef Bykowski, właściciel kilkunastohektarowego gospodarstwa, wnosił podatki z 5,38 ha, na reszcie zaś „rozparcelowanych" włości usadowił swą żonę i córkę. Bykowski, okłamał Gminną Radę Narodową jakoby był chłopem średniorolnym, zaś żonka i córeczka udawały biedotę wiejską.

Inny kułak, Franciszek Kłosik, płacił podatek od 10 ha ziemi, podczas gdy w rzeczywistości posiadał 25 ha, także fikcyjnie podzielonych między synów, którzy w międzyczasie potrafili nawet pozmieniać nazwiska. Podobnie postępowali bogacze Jan Kotlicki, Zygmunt Kobyłecki i inni.

Posiadacze fikcyjnie rozparcelowanych posiadłości ukarani zostali grzywną, jak również muszą oni uregulować zaległy podatek gruntowy i FOR z karami i procentami.

Inicjatywa obywatelskiej komisji podatkowej GRN w Grabicy spotkała się z wielkim uznaniem miejscowej ludności mało i średniorolnej. Bo co by to było, gdyby na przykład taki „średniak" Bykowski i jego „małorolna" rodzinka wkradli się do frontu narodowego?

Wojciech Drygas

Nie ma człowieka?

Skarżył mi się niedawno jeden z pisarzy, że mimo całego bogactwa toczącego się życia — nie bardzo ma o czym pisać. Bo jakie to bogactwo? Przeżywamy — mówił — okres inwazji problematyki technicznej na literaturę: system Korabielnikowej, Kowalewa, Szulca, obniżk. kosztów własnych, upłynnienie remanentów, oszczędność na oliwie, benzynie, prądzie elektrycznym, w oranu, zasiewach, zbieranie odpadków, walka o cykliczność w wydobywaniu węgla, system dwójkowy, trójkowy w budownictwie — to wszystko pretenduje do literackiego wyrazu, lecz jest — rzeczy można — niefotogeniczne, nieliterackie. Dlatego zawodzi wiele prób podejmowanych przez pisarzy, nie udają się powieści, nowele. „nie wychodzą" reportaże. Co innego, gdyby chodziło o nowego człowieka! Na niego przyjdzie czas dopiero po wykonaniu Planu 6-letniego.

Szukając **człowicka** (Putrament mówił, że trzeba pogłębić profil psychologiczny w naszych literackich bohaterach) — poszliśmy na narade przewodniczących Wydziałów Oświatowych gminnych i powiatowych Rad Narodowych.

Dowiedzieliśmy się na początku, że w dziedzinie oświaty podstawowej województwo łódzkie wykonało zaledwie w 80 proc. plan. 553 absolwentów liceów pedagogicznych, nie pokryło nawet naturalnego ubytku sił nauczycielskich. 120 etatów w powiatach i gminach pozostaje nadal nieobsadzonych.

—Znowu zapomnieli o ludziach—zauważył kwaśno kolega — literat — choć warto by zobaczyć jak wygląda teren bez należytej obsady nauczycielskiej. — I skwapliwie notował nazwy gmin, borykając się z brakiem kadry oświatowej.

Usłyszeliśmy, że bieżącego roku liczba szkół w województwie o 1-nym nauczycielu zmniejszy się z 385 na 255, natomiast szkół o 2 nauczycielach przybędzie z 284 na 305. Podobnie liczba szkół obsługiwanych przez 3 nauczycieli zmniejszy się z 232 na 200. Odpowiednio do tego wzrośnie liczba szkół o 4 nauczycielach z 531 na 672.

Energiczna walka o wyższą organizację sieci szkół podstawowych zaskoczyła i zdumiała mego kolegę.

A gdzie macie bazę na ten jakościowy wzrost? — spytał nieomalże na głos — gdzie budowa nowych szkół, gdzie remonty?

Na mówiło wchodzili pracownicy oświatowi z różnych stron. Kolega literat zdumiewał się coraz bardziej. Powiatowe Rady Narodowe nie zawsze mogą opanować ruchu inwestycyjnego, przebiegającego przez gromady i gminy. Szkoły powstają niekiedy jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Stawiają nowe, remontują zaniedbane sami chłopi, zainteresowani w kształceniu dzieci. Tak było w powiecie skierniewickim, gdzie chłopi postawili szereg nowych szkół własnymi siłami. I w wielu innych powiatach ruch ten przebiega żywiołowo. Oczywiście, ruch ten trzeba włączyć w plan, otoczyć opieką, pomagać przy wykonaniu. Bywa przecież nieraz, że w okolicy znajdą się majsterkowie, którzy postawią mury, ale na ślusarce, czy precyzyjnej stolarce już się nie znają. Budynek niszczeje, idzie na marne cenna inicjatywa gromadzka.

Przekonałem kolegę literata, aby pojechał w teren. Zobaczy chłopów wiążących się w grupy producentów, opartę o państwowo - spółdzielczy rynek zaopatrzenia i zbytu. Idzie wiosna — z pewnością więc ujrzy pierwsze zespołowe zasiewy indywidualnych gospodarzy, zespołową pomoc sąsiedzką przy orce, dostrzeże zmiany w układzie sił wytwórczych na wsi w stosunku do dawnej produkcji „prywatnej".

I w reportażu (nawet o jakimś pełnym rozmachu komitecie rodzicielskim) bo tam — człowiek, uważy, iż działa on na gruncie przekształcającej się bazy stosunków produkcyjnych na wsi. Jedyny i niepowtarzalny w historii warstwy chłopskiej proces! Jakże wart literackiego opisu! I jaki rzec by można — **fotogeniczny!**

Piotr Pigwa

Książka w rękach chłopa

W okresie Zjednoczenia Ruchu Ludowego pewien chłop z pow. rawsko-mazowieckiego, delegat na kongres, zawitał do prywatnej księgarni z zamiarem kupna jednej z powieści napisanych przez przywódcę ruchu ludowego Marszałka Kowalskiego. Sprzedawca był wyraźnie zaskoczony tytułem książki i nazwiskiem autora. Okazało się, że takich książek sklep nie posiada. Chcąc jednak kupującego — jak to się mówi — dobrze obsłużyć, podjął z półki inną książkę i wręczył delegatowi, „weźcie tę, tu się także pisze o chłopach." Delegat rzucił okiem na jej tytuł i zdębiał: trzymał w ręku „Historię żółtej ciżemki."

Zagadnienie wykwalifikowanego personelu księgarskiego w gminnych spółdzielniach jest szczególnie ważne w chwili obecnej, kiedy w dotychczasowym systemie organizacji zbytu książki znaleziono właściwe formy dostarczenia jej ludności wiejskiej. Do niedawna zakup książki przez chłopa sprowadzał się do szczęśliwej okazji, gdyż tylko gdzieniegdzie na terenie kraju podejmowane były próby uruchamiania stałych półek księgarskich w sklepach GS-ów. Chciał chłop książkę — musiał jechać po nią do miasta.

Dogodne warunki zakupu książek dla ludności wsi, ofensywa o zdobycie chłopa dla masowego czytelnictwa i zachęcenie go do kupna książki, rozwinięta została w maju ub. roku i objęła 3 tys. sklepów gminnych spółdzielni. Sklepy te uruchomiły stałe działy księgarskie.

W ten sposób gminna spółdzielnia stała się istotnym narzędziem walki o podniesienie kultury chłopskich mas pracujących, a każdy sprzedawca sklepowy jej aktywnym bojownikiem.

Ale, niestety nie zawsze tak bywa. Sam byłem świadkiem, kiedy do sklepu gminnej spółdzielni w Bogumiłowicach nadeszła skrzynia z książkami. Odbito skrzynię, opróżniono ją z zawartości i dopiero zaczęto wydziwiać. Jaki to interes dla spółdzielni, z towarami spożywczymi i monopolowymi? Co my zrobimy z taką masą książek? Kto to kupi, u nas, w Bogumiłowicach? Nauczyciel? Nadzorca przejazdu kolejowego? Referent z Gminnej Rady Narodowej?

Ostatecznie na moją interwencję umieszczono książki w „dobrym punkcie" na półce między słoikami z konfiturą i papierosami. Lepszego miejsca kierownik nie potrafił znaleźć.

Pierwsze — dzieci pobiegły do domów z wieścią, że w „sklepie założono prawdziwą księgarnię". „W mig do spółdzielni zaczęli się tłoczyć chłopi, kobiety, młodzież — dosłownie wszyscy. Kierownik zrobił wielkie oczy. W ciągu jednego tylko popołudnia sprzedał cały zapas książek. Po nową skrzynię obiecywał chłopom udać się w dniu następnym do Skierniewic.

Jedna rzecz była w tym całym zdarzeniu niepokojąca... Personel sklepowy tratkował ten nowy odcinek swojej pracy wyłącznie z handlowego punktu widzenia: „idą książki — trzeba sprowadzić więcej bo to się o p ł a c i!" Linia najmniejszego oporu, bo jeśli nie otoczy się książek opieką i nie zainteresuje nimi chłopa? Wtedy rzeczywiście można liczyć tylko na nauczyciela, nadzorcę przejazdu kolejowego, lub referenta Gminnej Rady Narodowej.

Z wielkim więc uznaniem należy powitać inicjatywę Centrali Obrotu Księgarskiego „Dom Książki", która zorganizowała ostatnio wespół z Centralą Rolniczą Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" kilkadziesiąt cztero i pięciodniowych kursów dla sprzedawców książek w gminnych spółdzielniach. Otrzymali oni niezbędne wiadomości i wskazówki zarówno teoretyczne, jak i praktyczne, dotyczące masowej sprzedaży książek na wsi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy uczestnik kursu otrzymał do ręki katalog pt. „Książka w gminnej spółdzielni", wydany nakładem „Domu Książki". Katalog ten, przeznaczony dla sprzedawców i czytelnika wiejskiego, w sposób prosty i zrozumiały daje dużo cennych objaśnień o wielu książkach, znajdujących się w sprzedaży z zakresu działów; rolniczych, polityczno-społecznych, z literatury pięknej, dla dzieci i młodzieży oraz popularno-naukowych.

Specjalny rozdział katalogu zaopatrzony krótkim wstępem, poświęcony jest wydawnictwom, pokazującym osiągnięcia przodowników pracy i racjonalizatorów w przemyśle i rolnictwie. W dziale książek o treści polityczno-społecznej podano najbardziej proste i zrozumiałe dzieła klasyków marksizmu oraz książki omawiające najważniejsze zagadnienia Planu 6-letniego, walki o pokój itp. Literatura piękna reprezentowana jest przez książki klasyków literatury polskiej — Konopnickiej, Kraszewskiego, Mickiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza i Żeromskego oraz współczesnych autorów polskich i radzieckich.

Katalog obejmuje tytuły 250 książek z objaśnieniami o treści poszczególnych tomów, a nadto urozmaicony wszechstronnym informatorem dla potrzeb czytelnika, w jaki sposób daną książkę czytać, aby wynieść z niej jak najwięcej korzyści.

Wśród kursistów nie brakło również kierownika sklepu w Bogumiłowicach. Kiedy zapytałem go, w jaki sposób pragnie upowszechniać teraz czytelnictwo książek na swoim terenie, odpowiedział:

— Towarzyszu, wyjdziemy z książką **na zewnątrz — do gromady**, do poszczególnych chłopów i kobiet, by stale przemawiała ona do człowieka, by stale zachęcała do kupna... Wzmocnimy świetlice.

Wojciech Smuła

W poprzednim numerze

W. Scibor — Ekonomiczne podstawy frontu narodowego na wsi. **Z. Polsakiewicz** — Przemiany. **T. Papier** — Opowiadanie o średniaku, kułaku i PGR-ze. **W. Smólski** — Poeci Komuny Paryskiej. **E. Pottier** — Rocznica 18 marca 1871 r. **Jan Baptysta Clement** — Kapitan „Pod Mur". **Clovis Gugues** — Co śpiewaliśmy w więzieniu. **Luiza Michel** — Taniec granatów. **E. Chatelein** — Komuna niechaj żyje. **L. Marchand** — Chwała bohaterom Komuny. **D. Brzozowska** — Realistyczna powieść Dygasińskiego. **A. Lisiecka** — Powieść polityczna czy manowce psychologizmu. **A. Fadiejew** — Praca pisarza. **P. Chmura**— Główne ogniwo. **F. Fenikowski** — „No Passaran". **J. Jelonek** — Porąbka startuje w socjalizm. **H. Żabikówna** — List z Łodzi. **S. C.** — Prasa regionalna. **M. W.** — Prasa regionalna. **P. Pigwa** — W walce o front narodowy. **S. Skulski** — Jak długo wieś będzie czekać na teatry? **W. Rózga** — W pobliżu spółdzielni. Stron — 8. Ilustracji — 11.

Antoni Mech

Razem—ale jak?

Zanim rozpoczęło się zebranie, chłopi małymi grupkami podchodzili do świetlicowej gazetki ściennej, aby przeczytać półgłosem artykuł zetempowca Józka Kwaśniaka o planowym skupie zboża. Artykuł opatrzony został pomysłowymi rysunkami. Pierwszy z nich przedstawiał wesołe, roześpiewane twarze, furmanki z wyładowanymi ziarnem workami, flagi czerwone, a pod nim krótki, bezpretensjonalny wierszyk: „Kto zboże państwu sprzedaje — ten ojczyźnie sił dodaje". Drugi rysunek kontrastował z pierwszym: kułak z drapieżną twarzą zasłania rękoma pękate wory ze zbożem.

To pewno Goliński—domyślali się chłopi. Ten także ma gębę dziobatą, zawistną... Dobrze go wyrysował, co?

Plan tegorocznej kampanii siewnej w Będkowie przedstawił zebranym chłopom prezes koła gromadzkiego Zw. Samopomocy Chłopskiej Marciniak. A więc pszenicy o 25 hektarów więcej niż w roku ubiegłym, jęczmienia o 18 ha, owsa tyle a tyle, potem rośliny oleiste, kontraktowe i w końcu okopowe. Plan ułożyło koło ZSCh.

Kiedy otworzono dyskusję, podniósł się od razu kułak Goliński, pan na 18 hektarach.

— Mnie tam te wasze plany nie wiele obchodzą — powiedział obojętnie. — Zboże ześta mi przymusowo wymłócili, to się teraz sami martwcie. Mnie plan niepotrzebny: sieję co chcę i zbieram jak chcę. Gospodarz jestem na własnym — maszyny mam swoje. O pomoc nie będę pytać!

W salce świetlicowej zawrzało jak w ulu.

Pierwszy odpowiedział średniorolny Klimczak.

— Jakieście, Goliński, skrywali przed państwem zboże po różnych schowkach, to i dostaliście od nas nauczkę. A tutaj, na zebraniu, nie mieszajcie grochu z kapustą. Nie udawajcie niewiniątka. Bo my znamy się na tym...

— Ja tam liczyć nie potrafię — wrzasnął Goliński — nieuczony jestem. A w waszym planie liczby. Na co nam plan?

— Na co? — odparował małorolny Pietrzak. — A na to, że tutaj o Plan Sześcioletni chodzi. Nową Hutę budujem, kombinat włókienniczy w Piotrkowie, wszędzie planowo i planowo. Tylko my ,w Będkowie, wciąż jeszcze nie umiemy jak trza gospodarzyć. Rozumiecie teraz Goliński?

Goliński poczerwieniał, skulił się.

Prezes Marciniak wyjął notes.

— Więc jak będzie? Plan przyjmujecie?

Z kąta salki poderwała się Kowalikowa i pisnęła dyszkantem, aż się chłopi zasmiali.

— Ja, proszę prezesa, umyśliłam sobie w tę walkę o pokój zakontraktować dodatkowo 0,35 ha lnu. Taka ma być moja odpowiedź podżegaczom amerykańskim...

Za nią wystąpiła Matyjkowa. Za Kowalikową i Matyjkową, poszli inni. Ten dodatkowo kontraktował rzepak, ów zobowiązywał się siać len i sadzić buraki cukrowe, a małorolny Bartosik zapisał się nawet na zioła lecznicze. Przy okazji zobowiązano agronoma gminnego, ażeby częściej przyjeżdżał do wsi i służył radami. Postanowiono obsiać wszystkie pola siewnikami rzędowymi i przez racjonalną uprawę ziemi podnieść w tym roku plon pszenicy o 2 q z hektara, jęczmienia o 1,5 q, żyta o 3 q, ziemniaków o 30 q, buraków cukrowych o 50 q i rzepaku o 2,5 q.

Tylko bogacze Goliński, Jaskólski i Pietrucha milczeli .

Kiedy rozpoczęto omawiać ostatni punkt porządku dziennego — pomoc sąsiedzką, oczy wszystkich skierowały się w stronę kułaków.

Goliński podniósł z wściekłością głowę.

— A czy ja dla ludzi jestem taki zły? — wybuchnął. — No, powiedzcie?

Wstała Matyjowa.

— Na przednowku było, ubiegłego roku. Poszłam do niego kupić ziemniaków. Ile za metr wziął? Tysiąc złotych, chociaż cena wynosiła 450. To ten, co liczyć nie potrafi, bo niby nieuczony.

— Zgoda buduje — niezgoda rujnuje — przerwał jej drugi bogacz Jaskólski. — Pogódźmy się i kwita...

— Jaka zgoda? — pisnęła dyszkantem Kowalikowa. — Komu na dobre wychodzi kułacka przyjaźń? — wyciągnęła dłoń w kierunku gazetki ściennej. — O, toś ty jest krwiopijca... Wytrzeszczasz se gały z tego obrazka i ino patrzysz, jakby tego bidoka oszukać... Taka to twoja przyjaźń!

A średniak Klimczak dodał:

— Już my was, Jaskólski i Goliński w tym roku przypilnujemy. Nie wymigacie się od uczciwej pomocy sąsiedzkiej. Nie myślcie, że popuścimy wam dlatego, że jutro i tak przybędą do nas chłopaki z Państwowego Ośrodka Maszynowego, aby podpisać z nami umowy na wykonanie traktorem orek i siewów.

Antoni Mech

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa ul Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12. tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-8. Tel Redakcji 751-80 wewnętrzny 23 i 80.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN.-OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa I—6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 8/5
2-B-16323